Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

NA ROK NOWY.

Nie tak to dawne czasy, gdy myśliwstwo było powszechnie uważane jako czcza zabawka, nie przynosząca ogółowi żadnego pożytku. Tak było mniej więcej wszędzie. W miarę postępu wiedzy, szczególnie w dziedzinie przyrodnictwa, w miarę coraz skrzętniejszego poszukiwania źródeł, z których dobrobyt ucywilizowanych krajów czerpał swe siły, zwrócono też baczniejszą uwagę na świat zwierzęcy, w stanie natury żyjący, na korzyści, jakie z niego dla dobra pospolitego wyciągnąć można.

Wyznać szczerze należy, iż jako uczestnicy w tym pochodzie na drodze postępu, byliśmy w rzędzie ostatnich. Podczas gdy gdzieindziej łowiectwo stało się mozolnie nabywaną i szanowaną nauką, gdy już łowcy byli umiejętnymi i gorliwymi badaczami przyrody w swym myśliwskim zawodzie, gdy oni niezbitemi cyframi wykazywali korzyści i dochody, jakie umiejętnie administrowane myśliwstwo swym adeptom i krajowi przynosi, gdy opieka prawodawstwa otoczyła łowiectwo ochronnemi skrzydły, a ogół poddał się kornie temu zbawiennemu prawu, gdy wreszcie i ten dział wiedzy opromieniony już był światłem naukowych badań — my, jako myśliwi, trzymaliśmy się jeszcze dawnej rutyny i tradycyi, a ponieważ minęły czasy naszej rycerskiej chwały i rycerskiego wykonywania łowiectwa, — pozostały tylko dawne, ujemnej wartości nawyczki, przesądy, reguły, które nam drogę postępu hamowały i naukę w tym zawodzie, jako niepotrzebną, ukazywały. Próżne były nawoływania obcej literatury łowieckiej, głosy nader nielicznych naszych badaczów przyrody, odezwy praktycznych, a myślących i wykształconych myśliwych. Z letargu wiekowego obudzić nas nie zdołały!

Wreszcie i nam jasna zaświtała zorza. Zawiązało się krajowe Towarzystwo łowieckie i w Organie swym przez lat dziesięć niecilo światło i życie śród myśliwych, stanęła na straży spraw łowieckich Ustawa, normująca rozumne i umiejętne działanie na tem polu, wzmogło się przekonanie, że łowiectwo jest

również źródłem, z którego dobrobyt krajowy w części zasilony być może; aż wreszcie poczęto zwracać na nie baczną uwagę.

Publicystyka krajowa zawsze z lekceważeniem, z pogardą niemal, pomijała milczeniem sprawy myśliwstwa i nigdy nie wsparła naszych usiłowań. Dziś wszakże, gdy się przekonała, że one żywo interesują kraj cały, wszystkie warstwy społeczne jego, bo w nich wszystkich mieszczą się myśliwi, gdy coraz jawniej się okazuje, że łowiectwo jest również sprawą krajową nie małego znaczenia, którą zbadać, rozjaśnić i w staranną opiekę wziąć należy; poczyna i ona baczniej wpatrywać się w treść jej, poważniej ją traktowac, mówić o niej nie z dawnem lekceważeniem i szyderczym uśmiechem, lecz na seryo i już z niejaką znajomościa rzeczy, otwierać swe kolumny dla poważnych rozpraw w tej kwestyi. Mówimy tu o publicystyce krajowej; u pozakrajowych pism polskich, a nawet i obcych, znajdowaliśmy zawsze poparcie i uznanie naszych gorliwych trudów.

Pionierami pracy na tem odlogiem leżącem polu, stali się głównie rolnicy i leśnicy. Pierwsi, oddani uprawie roli, mniej wszechstronnie stykali się z przyrodą, w łowiectwie szukali jedynie rozrywki po pracy mozolnej, nie każdy z nich badał i zgłębiał nasuwające się mu zjawiska przyrody, tradycya wieków dawała im tylko wskazówki działania w tym kierunku. Gdy wszakże z czasem warunki ich bytu stawały się coraz mozolniejszymi, uciążliwszymi, gdy dla podniesienia ich i polepszenia koniecznemi się okazywały przemysł i wiedza, wówczas i rolnik przestał być bezmyślnym wykonawcą tradycyą podanych wskazówek i on też zapragnął wynieść z łowiectwa obok przyjemności także korzyść materyalną, któraby do podniesienia jego dobrobytu choćby w szczupłej mierze przyczynić się mogła. Baczniej się przeto rozpatrywać począł w tym świecie przyrody, w owym niewyczerpanym skarbie, z którego ludzkość już przez tyle wieków czerpie pożytki dla siebie. Wtedy okazała się potrzeba obszernej wiedzy, której poszukiwał, badania zjawisk w przyrodzie, na które dotąd bezmyślnie niemal patrzył, hodowania i ochrony pożytecznej zwierzyny, której wzmożona liczba miała mu przysporzyć przyjemności i dochodu, tępienia szkodliwej jego celom. I oto rozwój umiejętny łowiectwa podniósł rolnika moralnie, uszlachetnił i światłem opromienił jego serce i umysł.

O wiele rozleglejszy zakres działania w tym kierunku otworzył się leśnikom. Od wczesnej młodości oddając się temu szlachetnemu zawodowi, nieustannie obcując z przyrodą, na każdym kroku stykając się ze zjawiskami, poruszającemi ducha i zniewalającemi do badania ich, do wnikania w tajemniczą księgę nieodgadnionych misteryów; nie dziw, że umiłowali oni serdecznie swój zawód, w całym nader rozległym jego obrębie. Każdy z nich, jeżeli zbyt tępy umysł, uczucie niedostępne dla wrażeń szlachetnych i podniosłych, nie stawały na przeszkodzie, zasilał ducha swego praktycznie nabytą wiedzą, a jeśli przyszła mu w pomoc nauka, stawał się istotnie badaczem przyrody. Jako leśnik coraz szersze zakreślał kręgi dla swego działania, jako myśliwy, z energią i zapałem badał tajemnicze obyczaje świata zwierzęcego, pokonywał mozolne trudy w celu osiągnienia zamierzonego celu, ułatwiał myśliwstwu swobodny rozwój. Znający dokładnie zakres swego działania leśnik, pełniący swe obowiązki z zamiłowaniem i uwielbieniem dla tworów przyrody, musi być oraz myśliwym, a ów dualizm wcale nie czyni uszczerbku jego zawodowej pracy, owszem nadaje jej piętno energii i wyższego znaczenia. Dziś już wstydliwie odzywają się sporadyczne tylko głosy, wymagające tępienia pożytecznej zwierzyny, w celu ochronienia od niej kultur leśnych, wyjątkowy chyba leśnik objawi niechęć do myśliwstwa, czem naraża się na wzgardliwe lekceważenie w kole swych towarzyszów zawodowych. Las bez zwierzyny — to piękne ciało bez duszy. Jak dzieło rzeźby jest tylko martwą bryłą kamienną, jeżeli artysta nie owionie go swą myślą, swojem natchnieniem, tak też las bez mieszkańców zwierzęcych, przerażałby swą martwotą. Oni są ożywiającą go duszą. Cóż dziwnego, że owa różnobarwność ruchu i życia obudziła popęd badawczy w myśliwym i leśniku? Wszak już sama nazwa „myśliwy“ wskazuje ów podnioślejszy zakres jego działania, a leśnik apatyczny wobec owych pociągających uroków przyrody, musiałby się stać automatem bezdusznym.

Tak więc i nasze łowiectwo kroczy już drogą wiedzy, nauki, postępu. Jeszcze ów prąd zbawienny nie objął całego ogółu naszych myśliwych, ale zwolna przenika on jego ducha i już dziś jawnie i dosyć rozlegle okazuje się, że usiłowania podniesienia go w tym kierunku nie były marne.

W krajowej szkole gospodarstwa lasowego mamy katedrę nauki łowiectwa, która jeśli będzie popartą praktycznem doświadczeniem, wyda wkrótce dzielnych administratorów krajowego łowiectwa, w razie potrzeby umiejętnych examinatorów i usunie do szczętu rozdwojenie zawodów: leśnego i myśliwskiego, jakie jeszcze do tej pory niekiedy na jaw wychodzi.

Prawodawca krajowy, Wysoki Sejm, gorliwy orędownik wszystkich spraw krajowych, bez względu czy one mniejszej lub większej są wagi, zwrócił ojcowską swą baczność również na sprawę łowiecką i polecił Wydziałowi swemu przedłożenie na następnej sesyi sejmowej projektu reformy ustawy łowieckiej, odpowiedniej dzisiejszym stosunkom krajowym. Wydział wezwał w pomoc ankietę, która wnikała w wadliwości dziś obowiązującej Ustawy i proponowała modyfikacyę i naprawę jej. Odzywają się też dosyć częste i poważne głosy w czasopismach krajowych, a szczególnie w „Łowcu", zwracające uwagę na ujemności lub braki w dotychczasowej Ustawie, głosy zaprawdę godne uwzględnienia.

Wiadomo, jak gwałtowną burzę wywołała w kraju Ustawa sejmowa wprowadzenia kart myśliwskich, Ustawa może nieco za pospiesznie uchwalona, ale ostatecznie sprowadzona na tory głębszej rozwagi. Dziś wobec tak żywego i powszechnego zainteresowania się sprawą łowiecką, wobec opieki starannej, udzielonej jej przez Wysoki Sejm, Władze rządowe i autonomiczne, galicyjskie Towarzystwo łowieckie i jego delegatów, liczne już w kraju Towarzystwa myśliwskie, wreszcie przez powszechność, która wkrótce do tego zmuszoną będzie; karty myśliwskie stają się istotną potrzebą, albowiem przeciwnicy ich jedynie z powodu anarchii w sferze łowieckiej jako tacy występowali, a powitają je z radością, jeżeli one przyczynią się do uporządkowania stosunków łowieckich w kraju i przysporzą na ten cel nader pożądanego funduszu.

Sądzimy, że nikt nam nie zarzuci zarozumiałości i samochwalstwa, jeżeli odważymy się twierdzić, że głównie dziesięcioletnie działanie Organu galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, czasopisma „Łowiec", podniosło zanikłą prawie zupełnie sprawę łowiecką do znaczenia jeżeli nie równorzędnego, to w każdym razie poważnego, wobec innych spraw krajowych. Nam tylko wiadomo, ileśmy ciężkich musieli pokonywać trudów, idąc wytrwale ku oznaczonemu celowi, ile obalać przesądów, mylnych przekonań, wzgardliwego lekceważenia, jaką trzeba było uzbroić się mocą i poczuciem obowiązku względem kraju, aby wystąpić do walki z wiekową anarchią, uprzedzeniem, niechęcią, kastowemi nawet przewidzeniami.

Dziś uderzmy w fanfarę skromnego, ale dobrze zasłużonego tryumfu. Sprawa nasza stała się krajową, praca nasza uznaną i cenioną!

Drugą dziesiątkę lat życia naszego rozpoczynamy po chrześciańsku z miłością, wiarą, nadzieją. Z miłością dla tej przyrody, która nam jest Matką - żywicielką, dla tego zawodu niegdyś istotnie rycerskiego, dziś rozbudzającego siły ciała i ducha; z wiarą w szlachetne znaczenie naszej sprawy, w czerstwe i nieugięte siły jej bojowników; z nadzieją osiągnienia ostatecznego kresu naszych usiłowań, podniesienia łowiectwa do tej wysokości, jakiej wymaga nauka i troskliwość o dobro powszechne w tym kierunku.

Jeżeli tej zasłudze naszej nikt nie zaprzeczy, to cześć należną przedewszystkiem oddać się godzi bezinteresownej ofiarności, zaiste godnej podziwu, licznych „Łowca" współpracowników, których osiwiałym, znużonym już długoletnią, mozolną pracą, wodzem jest szanowny i zacny hr. Kazimirz Wodzicki. Redakcya, zawsze gorąco przejęta poczuciem obowiązku, do którego ją powołano, była tylko ową batutą, która zmięszane tony do harmonijnego ładu układała. Żywą ona przejęta wdzięcznością dla wszystkich tych współpracowników, którzy tak dzielnie, tak skutecznie prowadzili ją do zamierzonego celu.

Jakkolwiek przebiegliśmy już całą niemal drogę, jako cel wytkniętą, to jednak nie dotarliśmy do kresu, *ars longa*, praca nasza jeszcze nie dokonana, a że tak jest istotnie, wiedzą o tem dobrze gorliwi, ożywieni duchem postępu współpracownicy nasi. Do ich dobrej woli, do ich poczucia literackiego, myśliwskiego, obywatelskiego odwołujemy się i jesteśmy przekonani, że dalsze życie i działanie „Łowca" nie tylko sami silniej jeszcze podeprą, ale też przykładem swoim nowych na to pole prawdziwej zasługi bojowników powołają.

Z tą wiarą i nadzieją ślemy ogółowi naszemu myśliwskiemu, jakoby członkom jednej rodziny, wyznawcom tych samych celów i dążeń, w dniu Nowego roku szczere i serdeczne:

Szczęść Boże!

ROK 1887.

Przez

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

Był to zaiste rok wyjątkowy, mieszczący w sobie niespodzianki, tajemnice, zjawiska, niepamiętane dotąd, zagadkowe i zadziwiające objawy naszego kapryśnego i chimerycznego klimatu, wrogo wpływającego na nasze prace. I tak na wiosnę zjawiły się serye zimnej słoty, po której nastąpiła serya posuchy, trwającej po kilka tygodni, zniewalającej ludność do uprawy roli rozmoczonej lub spieczonej na podobieństwo skały.

W oznaczonym terminie przywędrowały nasze rolne spiewaki i ulegając łudzącym promieniom słońca, rozdzielały się w pary. Już 10. Marca pomimo bielejących się łanów, błysnęła nadzieja bliskiej wiosny po długiej polskiej zimie, ale jakby kara Boża za naszą skłonność do złudzeń, z których się w żadnym kierunku poprawić nie chcemy, zwaliły się śniegi, a termometr przeraził nas piętnastu stopniami mrozu. Biedowały skowronki w niejednej już wiośnie, biedawać też będą w przyszłości, ale tegoroczne ich udręczenia były o wiele srozsze i dotkliwsze, jak w innych latach. Setki i tysiące skowronków zleciało na publiczne drogi, podwórza, na gumna, do stodół i szop, szukając schronienia. Bolesny był widok tych lubych ptasząt z napuszonem pierzem, w agonii z zimna i głodu. Kupki trupów zbieraliśmy, niektóre ptaszęta wracały do życia w izbach i pokojach, inne niestety już rolnikowi przy pługu wdzięcznie przyspiewywać nie będą, bo pokryte one białym śmierci całunem. Nasze mieszkania zapełniliśmy skowronkami i wiele z nich przechowałem w kuropatwiarni, gdzie chciwie pożerały pożywienie. Inne też ptaki karane były śmiercią za pospiech w wędrówce, podniosłem również martwego trznadla trześnego, łyskę znaleziono zmarzniętą i wiele innych ptaków. Jak wielkie było nawidzenie ptaków, można z tego wnosić, że dzikie gołębie, nader przezorne, w szopach tę klęskę przebyły.

Hamując się w mych zapędach ornitologicznych, nie należących do szpalt „Łowca", z spostrzeżeń nader ciekawych, czynionych w tym roku wyjątkowym, wyczytuję w mych notatkach, że pierwsza para słonek przyleciała do białych zupełnie lasów 10. Kwietnia, 12. Kwietnia pojawiło się pięć, 14. ośm, 23. pięć i te były ostatnie. Szlakiem zimowym i śnieżnym tej okolicy nie wędrowały w tej wiośnie i nawet owych pojedynczych, istnych duchów pokutujących, wysyłanych na zwiady, nie spostrzegano w tym roku.

Smaczne przepiórki opóźniły przylot, ledwie w połowie Czerwca pojawiły się, a liczny ciąg odbywał się w końcu tego miesiąca, znaczna ich część u nas pozostała. Ciekawe zrobiłem spostrzeżenie, że się nie gnieździły w tym roku i nie przebywały na ulubionych łanach, znanych mi od wielu lat, lecz obrały niezwykłe siedziby, czy to dla żeru, czy też jako zaciszne, do lęgu odpowiednie, to już ich tajemnica. Wabienie i bicie nader słabe słychać było, do tego stopnia, iż przypuszczaliśmy małą liczbę przepiórek, a jednak na innych polach, tak jak dawniej, było ich dosyć, kiedy nie polując wyłącznie na nie, lecz przy gospodarstwie, ubiliśmy przeszło 600. Zauważałem w szczególności skąpszy spiew u wszystkich owadożernych ptaków, nasze gaje, lasy i ogrody wcale głośnymi nie były i nie cieszyliśmy się harmonią leśnych koncertów, których tak zawsze pragniemy. Prawdopodobnie z powodu spóźnionego przylotu opóźniło się też wychowanie piskląt przepiórczych, ledwie gdzieniegdzie w Sierpniu było można strzelać młode, wypierzone, do dnia św. Michała widywaliśmy nielotne, przypuszczam więc, że wiele z nich pożarły wędrowne drapieżniki, niektóre zaś rodziny poginęły w zimnych i słotnych nocach.

W przeciwieństwie do podania kolegi Żurowskiego, było u nas chruścieli mało, więc widocznie podgórzem odbywał się ciąg tych ptaków. Również na bagnach była mała liczba zwierzyny.

Około połowy Sierpnia jaskrawe promienie słońca pieściły roślinność, a jednak nasienie nie dojrzewało i spiekota go nie spaliła. Później przez kilka tygodni noce z gwiaździstym firmamentem, a w dzień słota, doprowadzały rolnika do rozpaczy. Zagadkowe to zjawisko! Widocznie panujący w tym roku planeta nie sprzyjał nam, życzyć sobie musimy, by daleko powędrował i w swym biegu jak najpóźniej nas odwidził.

Wegetacya była bujna, ale bez siły, nie pożywna, widocznie powietrze przepełnione miazmatami, osadzało grzybki i mnożyło bakterye, od których już się nasz wiek nie uwolni, jak twierdzą uczeni. Wszędzie spostrzegaliśmy rdzę, grzybki, śniedź i inne nieczystości na roślinach. Zupełny nieurodzaj bukwy i żołędzi, klonów, brzostów, jaworów, obfitość zaś w grabach, jasionach i brzozach. Śliwki i wiśnie, te polskie owoce, zawsze zdobiące w lecie drzewa, wcale nie obrodziły, natomiast jabłonie i grusze obfitego plonu dostarczyły. Nie pamiętam roku z nieurodzajem laskowych orzechów, które mi się dały we znaki czy to ludnością przepełniającą lasy tą krzewiną pokryte, czy też mymi naganiaczami, szukającymi orzechów, a nie zwracającymi uwagi na słonki. Jarzębina, barwiąca swymi koralami przyrodę, zawsze rodząca, istna otwarta restauracya w jesieni dla drozdów, nie miała wcale w tym roku owoców, nawet nie pamiętam czy kwitła. To istotnie zagadka!

Grzyby, tak zwane podpinki (pod pniem rosnące), trzy razy wyrastały, ostatni raz nawet po pierwszych mrozach. Mieszkam w Olejowie od lat trzydziestu, ani ja, ani żaden z moich leśników nie znajdowaliśmy prawdziwych grzybów, niemal nieznanych w okolicy. W tym roku, zaprawdę rzecz nieodgadniona, pojawia się ilość grzybów tak wielka, że potrzeby dzienne były przez trzy tygodnie zawsze zaspokojone i krocie ususzono wianków. Ciekawszem jest jeszcze, że grzyby pojawiły się w brzozowym lesie na kilkunastu morgach, a na innych przestrzeniach, podobnego porostu i położenia, nie można było znaleść ani jednego grzyba. Zkądże się wzięły, z jakiej przyczyny ziemia je wytworzyła? Tajemnicze to i zagadkowe, a zdziwiło mnie

najbardziej, że ziemia bez widocznej przyczyny przestała rodzić grzyby, bo gdy jeszcze 10. Października przysłano mi mnóstwo grzybów, 13. już nie było ani jednego. Nie wierząc, aby na termin, na jakąś tajemniczą komendę, przestały rosnąć grzyby, pojechałem do lasu i przekonałem się o prawdzie twierdzenia, bo nie znalazłem ani jednego na całej przestrzeni.

Dla zwierzyny nie był to gorszy rok od innych. Zajęcy skąpo, tak w polu, sądząc z odbytych polowań z wyżłem, jakoteż w lesie przy polowaniu na słonki. Wprawdzie dziwnie twardo siedział zając w kotlinie, bo chłopcy wyganiali go ledwie za trzeciem gonieniem i to pod wieczór, jednak przypuszczam małą ilość i nadchodzi drugi rok niezajęczy. Czy kuropatwom atmosferyczne przeszkody nie dozwalały znosić się, czyli też pierwsze zniesienie zniszczone zostało, tego sobie wyjaśnić nie umiem, lecz stwierdzam rzecz pewną, że wiele kuropatw we Wrześniu nie było nawet farbówkami, więc nie do strzelania, trudno, iżby one przezimowały.

Dla sarn sprzyjający to rok, nie widzieliśmy jałowych, wiele ich wodzi po dwoje i troje sarniąt, a okrągłe, opasione, wydają się łaniami. Na Podolu naszem zając jest więcej polowem zwierzątkiem, jak w innych okolicach, a gdy przestrzenie nader obszerne, to może pojawi się w lesie dopiero po śnieżnicach i mroźnych zawieruchach. U nas tu, mogę to śmiało twierdzić, zając nas srogo eksploatuje czyli wyzyskuje, gdyż najczęściej bawi w polu w dzień do końca Stycznia, przychodzi na noc do restauracyi leśnej, a w miesiącu Lutym już go nie wolno strzelać wtedy, gdy gromadnie pilnuje zadanej koniczyny.

Odlot ptaków był wcześniejszy, jak w innych latach, w ciągu popłoch i kupienie się w znaczne stada, nawet skowronki opuściły nas przed terminem, a bociany nie sejmikując, klekotem pożegnały gniazda i pospiesznie powędrowały.

Niemniej wyjątkowe i zagadkowe zjawiska widzimy w porastaniu rogów do tej chwili; widziane młode i stare rogacze miały rogi jeszcze 15. Listopada. Jakaż to przyczyna zachowania rogów i to mocno trzymających się głowy? Zawsze twierdziliśmy, że rogacz dobrej tuszy wcześnie zrzuca rogi i w takim stanie siły i zdrowia z łatwością przebywa metamorfozę, która jest niezaprzeczenie cierpieniem i wysileniem.

Ciąg słonek również zagadkowy, a przyczyna tego nie wiadoma, wszakże północne kraje nie były nawidzone przedwczesną zimą, ani też góry głębokimi śniegami, z jakiej więc przyczyny wbrew prawom przyrody przyleciały we Wrześniu? Z niepospolitem zdziwieniem narachowałem 24. Września słonek 18, 10. Października 20, 11. 30, 17. 22, 20. 22, w końcu 7. W dwóch lasach polowaliśmy kilkakrotnie i zawsze witaliśmy nowych przybyszów salwami, a w jednym małym lasku, nie wynoszącym 120 morgów, polowaliśmy przez cztery dni, wybijali słonki czasem do nogi, a jednak znowu się pojawiały dla naszej rozkoszy nie do opisania. Przypuszczam, że żer dla naszego oka nie widzialny pędził słonki do tych lasów. Instynkt to pożyteczniejszy jak rozum. W wielu innych miejscach, niegdyś ulubionych, wcale długodziobów nie było w tym roku. Wędrowały rodzinami po 6 sztuk i nader często zdybywaliśmy te rodziny w miocie. Bywało i więcej razem, płoszyliśmy też pojedyncze, ale takich nawalnych przylotów, jakie bywały w Olejowie, nie widzieliśmy tego roku. Ciąg trwał wyjątkowo przez 30 dni i można było wielką zdobycz zebrać, lecz słota nieustanna, wichry i huragany nie dozwalały polować nawet najzapalczywszemu myśliwemu. Przyznać też muszę jako sumienny referent, że doskonali i wprawni strzelcy strzelali jakby sztubaki myśliwscy. Mam ochotę uważać to pudłowanie jako należące do wyjątkowych tajemniczych zjawisk tegorocznych. Z pokorą i rumieńcem wstydu zapisałem w annalach myśliwskich Olejowskich dzień, w którym padło strzałów 102, a wróciliśmy do domu z 9 słonkami. Być może, że panujący płaneta, tak zgubnie działający na roślinność i powietrze, wpłynął też szkodliwie na nerwy, siły i wzrok naszych strzelców. Nie tylko zimne słoty ratowały życie słonek, lecz także wiatry utrudniające strzały i osłabiające słuch, bywały dnie z takimi wichrami, że przypuszczać można było chyba powieszenie się jakiejś znakomitości europejskiej, były to istne huragany wisielców, trwające od rana do nocy. Wreszcie 23. Października śnieżnica zalepiała nam oczy, utrudniała strzały, w nocy był mróz, 25. spotęgował się do 6^{0} i słonki nasze wytrzymawszy dwa mrozy, odleciały, a my kartofle w polu zamrozili. Jeszcze w Listopadzie spotykaliśmy pojedyncze słonki, lecz już przylotu niebyło. I to też było odmienne, że mimo dokuczliwego, mokrego i wietrznego zimna słonki nie szukały schronienia w zwartych, zacisznych lasach, lecz przebywały po krzakach, dowód to nowy wytrwałości tych ptaków na zimno.

W ogólności przyroda przebyła, a my z nią, wyjątkowy rok, pełen tajemnic, niespodzianek i zagadkowych zjawisk, jedno tylko w kraju się nie zmieniło — to golizna, która się szerzy, podobna do jadowitego liszaju, niestety nieuleczalnego na teraz.

Olejów 18. Listopada 1887.

Polowanie na kozice w Tatrach *)

opisał

WŁADYSŁAW hr. KOZIEBRODZKI.

Podczas mojego pobytu w Zakopanem w lecie r. 1861 w gościnnym domu państwa Homolaczów, ułożyliśmy się w kilku znajomych zapolować w Tatrach na kozice. Do projektu tego jeżeli nas wielce ciągnęła żyłka myśliwska, to niemniej nadzieja bliższego zapoznania się z tą cudowną przyrodą alpejską, jak również pragnienie nowych i nieznanych wrażeń, a może trochę i zamiłowanie do trudów i niebezpieczeństw. Być może, że i ambicya grała w projekcie tym niemałą rolę, gdyż przed nami prócz skrytostrzelców, jak ich nazywa Dr. Nowicki, nikogo jeszcze nie

*) Umieszczone w czasopiśmie warszawskiem „Kłosy“ w r. 1875 str. 78 z illustracyami J. Kossaka. Nader zajmująca treść i barwny opis tego niezwykłego polowania wkładają na nas obowiązek powtórzenia go w naszem piśmie, co też, oparci na łaskawem i chętnem zezwoleniu autora, z przyjemnością czynimy.

skusiło męczące to i niewdzięczne polowanie, a wyprawa nasza miała być pierwszem po stronie galicyjskiej polowaniem, w większem kółku myśliwskiem i na szersze rozmiary. Przygotowania do wyprawy trwały dość długo, a przedewszystkiem wstrzymywały nas ciągłe obawy o pogodę, i dopiero pierwszych dni Sierpnia, po długich naradach z miejscowymi doświadczonymi metereologami, puściliśmy się w drogę — to jest w góry.

Towarzystwo nasze składało się: z księdza proboszcza zakopańskiego Stolarczyka, znanego lubownika gór i niestrudzonego turysty, a przytem znającego przewybornie wszystkie szczyty i wszystkie hale tatrzańskie; z pana Schauera, naturalisty, który wówczas zajęty był przy muzeum przyrodniczem hr. Włodzimirza Dzieduszyckiego we Lwowie i bawił w Zakopanem w celu pomnożenia tych zbiorów; z panów Edwarda i Stanisława Homolaczów, właścicieli ówczesnych Zakopanego; z hr. Stanisława Wodzickiego i ze mnie. Do pomocy i dla ułatwienia polowania wzięliśmy z sobą najzręczniejszych, najodważniejszych i znających najlepiej góry przewodników, jak Sieczkę, Walę, Samka, Krzeptowskich. Przewodnicy ci znani byli jako niestrudzeni i doświadczeni w tym rodzaju polowania myśliwi. Prócz tych przewodników pięciu górali niosło nam ciepłą odzież i spore zapasy żywności, gdyż wyprawa nasza miała trwać cały tydzień pośród najdzikszych turni w samem sercu Tatr. Przewodnictwo nad nami naturalnie objął ks. proboszcz zakopański, który był zarazem naszym oboźnym i który tak nieporównanie z obowiązków tych się wywiązywał, iż nie mogę pominąć tej sposobności, aby za troskliwość i trudy nie podziękować mu najserdeczniej.

Uzbrojenie nasze składało się z krótkiego, gwintowanego sztućca, bardzo lekkiego; przewodnicy mieli odwieczne strzelby, niektóre sznurkiem powiązane. Jeden pan Schauer miał zwykłą dubeltówkę, gdyż do zbiorów ornitologicznych hr. Dzieduszyckiego zabijał po drodze ciekawsze okazy ptaków, jakie na strzał mu się nawijały. Miał on ze sobą również młodego ślicznego wyżła „Bekasa“, z którym mieliśmy nie mało zabawy, ale też i nie mało później kłopotów.

Przed wschodem słońca, w śliczny poranek sierpniowy, wyruszyliśmy w pochód z zakopańskiego dworu, a wyszliśmy tak rano, gdyż zamiarem naszym było dotrzeć od razu do wnętrza Tatr, w okolice obfitujące najwięcej w kozice t. j. aż pod Krywań. Drogi z Kuźnic zakopańskich do Czarnego i zmarzłego stawu i do Zawratu, nie będę opisywał, gdyż jest ogólnie znaną. Szliśmy rączo i żwawo, zatrzymywani jedynie przez pana Schauera, który co chwila to łowił w siatkę motyle lub owady, to zbierał do zielnika ciekawsze botaniczne okazy, lub też skradał się za przelatującym ptakiem.

Kiedyśmy doszli do wysokości limby i kosodrzewiny, to zbiory pomnażały się licznie ciekawymi okazami, których ojczyzną są właśnie te wyżyny alpejskie, a w nazwach tych okazów często polskie można znaleść nazwisko, jak n. p. między muchami *Stiolina Wodzickii*, *Leptis Janotae*, między motylami *Glyphipteryx Pietruskii*, *Gelechia Dzieduszyckii*, *Pentina Żebrawskii*, *Keszleria Zimmermanni* i inne. Za wróblem skalnym *(Accentor alpinus)*, siwarnikiem *(Anthus spinoletta)* i gazdą szałasowym *(Lusciola tithys)* długo p. Schauer uganiał się bezowocnie, a Bekas ze szczególnem zamiłowaniem stawał do każdego wróbla skalnego, który nieraz pozwolił mu bardzo blisko przystąpić do siebie, zanim na inny odleciał kamień, ciągnąc za sobą biednego wyżła, któremu widocznie igraszka ta bardzo przypadała do smaku; raz jednak zabawki tej omało Bekas nie przepłacił życiem.

Przed samem południem, po resztkach niestopionego śniegu, wydrapaliśmy się na Zawrat (6560′). Widok z Zawratu na całe wnętrze Tatr jest jednym z najwspanialszych, najdzikszych, najoryginalniejszych, jaki spotkać można w jakimkolwiek łańcuchu gór. Piętrzące się olbrzymie szczyty granitów, poszarpanych w najdziwaczniejsze kształty, jak rozszalałe olbrzymie fale morza, przedstawiają obraz nieskończony, bezbrzeżny, sięgający aż w równiny liptowskie. Wszystkie szczyty tatrzańskie od Krywania aż do Gerlachu rysują się przed oczami, a do koła cisza grobowa i ten świat bez życia, jakby wyjęty z jakiego kręgu Dantejskiego piekła. U stóp szereg stawów czarnych, niby wykrojonych z całunu, patrzących martwem zwierciadłem szklistem, jak oko trupa, w ten świat granitów, w ten świat śmierci.

Ostry, zimny wiatr nie pozwolił nam długo odpoczywać na szczycie Zawratu, ruszyliśmy w dalszą drogę, przecinając wszerz dolinę pięciu stawów i skierowaliśmy się ku Przechybiu, aby przeszedłszy przez nie dojść do doliny Ciemnych smereczyn. To polowanie na kozice było pierwszą moją wyprawą w świat alpejski i schodząc wtedy z Zawratu doznałem po raz pierwszy optycznego złudzenia co do odległości, wskutek rzadkości i czystości powietrza. Z Zawratu do szczytu Przechybia zdawała mi się przestrzeń tak niewielką, iż chciałem iść w zakład, iż przebędziemy ją za godzinę, szliśmy jednak godzin trzy. Do złudzenia takiego nigdy oko przyzwyczaić się nie może, doświadczałem tego później bardzo często w wycieczkach moich po Alpach austryackich i szwajcarskich. Nie zapomnę nigdy tego widoku z szałasu Grand Mulet (9800′) na Mont Blanc. Jezioro Genewskie, cały łańcuch Alp sabaudzkich rysował się z taką dokładnością, iż niepodobna było wierzyć, że szczyty te są oddalone na przestrzeń kilku mil, a jezioro kilkunastu. Złudzenie to w nocy przedstawia imponujący widok sklepienia niebios, gwiazdy zdają się większe i światło ich bez porównania silniejsze.

Schodząc z Przechybia ku dolinie Ciemnych smereczyn, byliśmy już wszyscy bardzo strudzeni i tylko nalegania przewodników zmusiły nas, iż doszliśmy aż ku dolinie Hlińskiej, między Pośrednim a Grubym Wierchem. Byliśmy w sercu Tatr, z jednej strony wspinały się strome szczyty Baszty (7699′) i Wiercha Szczerbatego, za nimi Rysy (6309′), przed nami Gruby Wierch i imponujący, wspaniały Krywań (7913′) a ponad Pośrednim Wierchem szczyty Miedzianej (7133′) i Miąguszowskie (6300′). Przy małym strumyku, płynącym od Baszty pośród kosodrzewiny, rozłożyliśmy obóz i przygotowali nocleg.

Przewodnicy rączo z suchych gałęzi i konarów kosodrzewiny rozpalili ogień, dokoła tego ognia z gałęzi kosodrzewiny i z trawy usłaliśmy, jak się dało, posłanie, dla dokładności dodać muszę, iż posłanie to nie było wcale wygodne, podstawą jego bowiem były kamienie i to dość duże, siennikiem grube gałęzie. W tej pierwszej nocy nikt z nas oka nie zmrużył, ale bo też długo w noc, przy szklankach herbaty, słuchaliśmy opowiadań przewodników o ich przygodach myśliwskich w polowaniach na kozice,

odbieraliśmy od nich instrukcye, nauki, rady, jak się zachować w dniach następnych, aby nie powrócić do Zakopanego z próżnemi rękami. Zapał myśliwski, mimo malowniczo kreślonych obrazów, trudów i niebezpieczeństw, przejmował nas mocno, lecz w polowaniu na kozice, jeżeli szczęście gra pewną rolę, to więcej bez porównania zręczność, śmiałość, pewność oka i brak zawrotu głowy nad przepaściami. Pod tym względem, prócz panów Homolaczów i ks. proboszcza, reszta z nas była zupełnie nowicyuszami i żaden z nas nie wiedział, o ile z prób tych wyjdzie zwycięsko. Noc ta pierwsza była przepyszna, chociaż bardzo zimna, woda w strumyku zamarzła i pomimo tego, że jeden z górali jak westalka przez noc całą utrzymywał ogień, zmarzliśmy wszyscy i pokazało się, że ciepłe nasze ubrania nie były wystarczające. Kiedy wśród nocy dla rozgrzania wstałem, aby rozruszać się trochę i odszedłem od wspólnego obozu, uderzony byłem majestatem tej ciszy nocnej wśród turni tatrzańskich, jest to jedno z tych wrażeń potężnych, jakie zdobywa się jedynie wśród tego wyjątkowego świata, a jakiego się nigdy nie zapomni w życiu. Księżyc w pełni oświecał fantastyczne kształty olbrzymich granitów, które wydawały się stokroć większe, stokroć groźniejsze wśród tego niepewnego światła i niepewnych cieniów, które tworzyły jakieś przepaście bezdenne, przestraszające; szczyty rosły w nieskończoność z koronami światła, a dolina cała niby ciemna otchłań. Ale najsilniejszem było wrażenie ciszy, ciszy bezwzględnej, głuchej, przerażającej. Na dolinie, w równinach, w noc najspokojniejszą, to jednak życie wre dokoła: szelest liści, tajemne głosy małych zwierzątek, niewidzialne życie tego niewidzialnego świata, słowem życie; tam zaś nic, nic zgoła, jeno cisza, której nic nie mąci, nic nie zakłóca. Ani tam odezwie się ptaszek jaki, ani owad przeleci, ani się liście poruszą, ani czemkolwiek przypomni się życie; tam cisza śmierci, kamienie milczą, milczą skały, milczy zaklęcie świat cały tak, że chwyta przestrach niewypowiedziany, wobec tej zaklętej przyrody, wobec tej bezmiernej śmierci. W ciszy tej, w której zdaje się imaginacyi, że dosłyszećby można bieg gwiazd po niebiosach, doznaje się jednego z tych wrażeń, jakie musi być przymiotem nicestwa. Nieraz w późniejszych wycieczkach po szczytach alpejskich, nieraz po noclegach wśród lodowców, przypominałem sobie wrażenie tej pierwszej nocy wśród turni tatrzańskich, ale pierwsze wrażenie pozostało najsilniejszem, nie zapomnę też go nigdy. Przed wschodem słońca byliśmy już wszyscy na nogach, gdyż od pierwszego brzasku rzeczywiście zaczynał się ten sposób polowania, jakim polować mieliśmy na kozice.

W tem miejscu wypadałoby mi skreślić i opisać kozicę *(Antilopa rupicapra)*. Te prześliczne zwierzęta żyjące tylko wśród szczytów skalnych, począwszy od 5500′, znajdują się w Europie w całym łańcuchu Alp: w Tatrach, w Pireneach, na Kaukazie i podobno w Apeninach; lecz nie sądzę, aby były w Apeninach, gdyż od wielu doświadczonych myśliwych włoskich słyszałem, że nie ma ich tam zupełnie. Dla dokładnego obznajomienia się z kozicą odsyłam ciekawych do wybornej i wyczerpującej monografii kozicy, napisanej z wielkim wdziękiem i interesem przez Dra M. Nowickiego (Kraków 1868).

Pozostając na stanowisku myśliwego, nie chcę powtarzać szczegółów, które tak skrzętnie zebrał uczony badacz, z doświadczenia jednak, którego nabrałem, polując na kozice w Alpach austryackich i szwajcarskich, mam prawo przyznać, iż monografia ta jest niezmiernie prawdziwą i trafną i że nic prawie do niej dodać nie można nowego. Ośmielę się tylko twierdzić, iż kozice nasze tatrzańskie są większe od alpejskich i o wiele ciemniejsze. Wprawdzie kozica zmienia z porą roku barwę sierści, lecz widziałem kilka kozic ubitych w Tatrach w Sierpniu i widziałem również kilka razy w tym samym miesiącu kozice, bądźto w Szwajcaryi, bądź w austryackich Alpach, były one niewątpliwie jaśniejsze, więcej rude, szczególnie wzdłuż grzbietu. Zdaje mi się jednak, iż za to kozice nasze mają więcej płowo białej barwy około pyska i gardzieli. Dr. Nowicki przytacza także w monografii swojej, iż profesor Zejszner w roku 1851 w rozprawie swojej utrzymuje, iż kozic w Tatrach nie ma więcej jak 100 i Dr. Nowicki zdaje się podzielać to zdanie; ośmielę się twierdzić, że cyfra ta jest bardzo pessymistycznie postawiona. Naprzód w przybliżeniu nawet ogólnikowem żadnej cyfry stawiać nie można, zważywszy rozległość Tatr i warunki, w jakich kozice żyją; sam zaś Dr. Nowicki w innym ustępie swojej monografii przytacza, iż raz na Krywaniu widział z Dr. Czerkawskim kierdel z 28 kozic. Więc miałby widzieć w jednem stadzie czwartą część wszystkich kozic w Tatrach? Co do mnie, sądzę, iż jeżeli w Tatrach nie ma tyle kozic, ile by ich być mogło i powinno, a czemu na przeszkodzie stają jedynie skrytostrzelcy, to w każdym razie jest ich stosunkowo tyle, co w Alpach austryackich, a bez porównania więcej, niż w Szwajcaryi. W Alpach salzburskich koło Ischl i Gmunden, jest więcej kozic dla tego głównie, iż polowania na nie należą po części do cesarza austryackiego, a po części do dwóch wielkich towarzystw myśliwskich alpejskich. Na czele jednej takiej spółki (tak było w roku 1869) stał książę Rohan z Czech, a na czele drugiej hr. Maltzan z Magdeburga. Cesarz austryacki jest zapalonym myśliwym na kozice i co rok poluje w górach, należących do skarbu koło Ischl; na takich polowaniach ginie corocznie do 60 kozic. Spółki myśliwskie trzymają w dzierżawie ogromne przestrzenie gór od gmin wiejskich i mają tam straż swoją, która śledzi skrytostrzelców. Polowanie tych spółek odbywa się raz na rok w Sierpniu, a ile jest kozic, to dowodem, iż w roku 1868 towarzystwo myśliwskie ks. Rohana zabiło w przeciągu dwóch tygodni 80 kozic.

Inaczej jest w Szwajcaryi, może dla tego głównie, iż tam myśliwstwo każdemu dozwolone. Rozliczne robiłem wycieczki na szczytach Alp szwajcarskich, a rzadko kiedy spotykałem kozice. W wycieczce mojej na Mont Blanc *), przechodząc lodowiec Siraqie zwany, widziałem dwie kozice, ale były to jedyne, jakie widziałem w całym łańcuchu Alp sabaudzkich, mimo tego, iż robiłem pośród nich wielkie wycieczki. Śmiało mogę powiedzieć, że wycieczki te obejmowały mało co mniejszą przestrzeń, niż długość naszych Tatr i na takich obszarach spotkałem tylko dwie kozice! W kilkudniowych nieraz wycieczkach moich w Al-

*) Wycieczkę tę odbyłem w roku 1862 dnia 29. i 30. Lipca wspólnie z hr. Mieczysławem Reyem i dwoma Francuzami. Pierwszego dnia sprzyjała nam śliczna pogoda i wcześnie zdążyliśmy na nocleg do szałasu „Grand Mulet“, drugiego dnia kiedyśmy dochodzili do „Grand Plateau“, mgły uniemożebniły dalszy pochód; byliśmy już tylko o trzy godziny od szczytu. Opis niedoszłej tej wyprawy skreślił jeden z towarzyszów, Francuz, w „Journal des étrangers“ genewskim. Dotąd z Polaków na Mont Blanc był tylko, ile wiem, Antoni Malczewski, autor „Maryi“, wyjście to opisał i umieścił w dzienniku francuskim.

pach berneńskich koło Finsteraarhorn, Schreckhorn, nie widziałem żadnej kozicy. Widziałem jednę, dochodząc do lodowca, prowadzącego do szczytu Todi. Częściej widywałem kozice w wyprawach już myśliwstwu wyłącznie poświęconych, jak na Mönch koło Jungfrau i w kantonach Glarus i Schwytz. Jednak powtarzam raz jeszcze, mniej bez bez porównania niż w naszych Tatrach. Przedewszystkiem wyniszczyć musieli w Szwajcaryi kozice skrytostrzelcy, co nie dziw, kiedy jeden znich, którego z dzieła Tschudiego przytacza Dr. Nowicki, nazwiskiem Colani, ubił w swoim życiu 2.880 kozic. W obecnym jednak stanie tej alpejskiej zwierzyny w naszych Tatrach, sądzę, iż wszystkie obawy o jej zaginienie są nieuzasadnione, jeżeli tylko silna i sprężysta będzie kontrola na skrytostrzelców, sądzę niemniej, iż utyskiwania na niewielką liczbę kozic są przesadzone; nie przeczę, że mogłoby ich być więcej, ale i obecna ich liczba jest jeszcze bardzo pocieszającą. Zważywszy jednak, iż większa część Tatr, w których przebywują kozice, należy do Węgier, wypadałoby w ścisłe wejść porozumienie co do ich ochrony z władzami węgierskiemi, tem bardziej, iż po tamtej stronie prócz skrytostrzelców polują i właściciele — ale o tem później. Wracam do naszego polowania.

Rozmaite są sposoby polowania na kozice, t. j. albo z pogonką, albo na zasadzkę, albo na podchodnego.

Polowanie z pogonką odbywa się w ten sam sposób, jak tego rodzaju polowanie na równinach, t. j. z jednej strony stają strzelcy, z przeciwnej długim a zbitym szeregiem staje pogonka, która posuwając się naprzód nagania zwierzynę. Tak przeważnie polują w Alpach austryackich. Jeden n. p. miot, który obejmuje Trauenstein (7.520 stóp), trwa pół dnia; jest to najlepszy miot w Alpach austryackich. Cesarz ma stanowisko po za igłą skały, a stanowisko to jest tak położone, że prawie wszystkie naganiane kozice muszą koło niego przebiegać, to też nie rzadko cesarz na tem jednem stanowisku ubija 16 do 20 sztuk. W ten sposób polują również Towarzystwa myśliwskie, o których wyżej wspomniałem, i w Szwajcaryi tak polowałem. Nie sądzę jednak, aby w ten sposób polować można w naszych Tatrach, przynajmniej w tych okolicach, w których właśnie kozic jest najwięcej. Formacya naszych skał jest zupełnie inną, szczyty tatrzańskie strzelają w górę w zbitej masie wprost z podstawy, dla tego pełno jest przepaści, stromych pionowych ścian, szerokich przestrzeni, nieprzebytych nawet dla najwprawniejszego górala. (Ciąg dalszy nastąpi).

W sprawie reformy Ustawy łowieckiej.

Nie pierwszy to raz otwiera „Łowiec“ swe gościnne łamy dla omówienia sprawy reformy ustawy łowieckiej i zdawałoby się, że pisać jeszcze coś o sprawie tak wszechstronnie i gruntownie już traktowanej jest co najmniej zbytecznem. Atoli tak nie jest, wszystkie dotychczasowe artykuły były pisane przed pojawieniem się projektu ustawy łowieckiej przez Wydział krajowy wypracowanego, omawiały zatem kwestyę tylko ze stanowiska subjektywnych zapatrywań autorów albo co najwięcej na podstawie obrad ankiety łowieckiej. Obecnie zaś leży przed nami substrat całkiem innego rodzaju: projekt ustawy, zupełnie szczegółowo wypracowany, mający stanowić podstawę obrad i uchwał Sejmu.

Właśnie w obec tego projektu zdaje mi się rzeczą potrzebną i konieczną, sprawę tę jeszcze raz tu poruszyć i zwrócić uwagę na niekorzyści i szkody, któreby dla łowiectwa wyniknąć mogły, gdyby się ten projekt stał ustawą.

Projekt ów nietylko zbyt mało ma na oku prawdziwe interesa łowiectwa i myśliwych nie-panów, jak to już poprzednio co do uchwał ankiety niejednokrotnie wytknięto i pomija zgoła nader trafne w łamach „Łowca“ skreślone zapatrywania, ale obfituje także w przepisy, o których doniosłości autorowie jego dokładnego nie utworzyli sobie wyobrażenia, a które w wykonaniu, po części krzywdząc tak żywotne interesa myśliwstwa i myśliwych, jako też właścicieli gruntów, stałyby się tylko powodem wiecznych sporów i upadku łowiectwa, po części zaś poprostu są nie do wykonania ze względów praktycznych lub też z innymi przepisami tego projektu stają w sprzeczności. Gdy przeglądamy tę ustawę, nasuwa się nam chwilami myśl, iż autorami jej w miejsce powołanych do tego prawników i myśliwych, byli ludzie, którym tak w jednym jak w drugim kierunku brakowało wszelkiego fachowego uzdolnienia. Nie trudno to będzie wykazać, jeżeli łaskawy czytelnik zechce nam towarzyszyć w przeglądaniu poszczególnych przepisów projektu ustawy, czynności niezbyt może zajmującej, która jednakowoż, idąc krok w krok za pomienionym projektem, najdobitniej jego błędy wykazać jest w stanie.

Już pierwszemu §. projektu, zresztą dla krytyki niedostępnemu, możnaby ze względu dokładności stylizacyi prawniczej zarzucić, iż określając pojęcie prawa polowania, określa je jako prawo wyszukiwania, łowienia i przywłaszczania dzikiej zwierzyny i dzikiego ptactwa, nie podnosi zaś, co wypadało uczynić, znamienia wyłączności tego prawa. Podobne braki stylizacyi znajdują się nader licznie w projekcie, nie będziemy ich z osobna wszystkich wytykać, lecz ograniczymy się na wykazaniu tych, które się wręcz duchowi języka sprzeciwiają lub też mogłyby dać powód do mylnego tłumaczenia ustawy.

Do szeregu takich usterek należy zaliczyć postanowienie §. 12., iż dzika zwierzyna i ptactwo „jest własnością użytkującego z polowania“, na którego obszarze myśliwskim się znajduje. To postanowienie jest sprzecznem z cytowanym powyżej §. 1. mówiącym o „przywłaszczaniu“ tejże zwierzyny, niezgodnem z powszechnie przyjętą teoryą prawniczą, iż zwierzyna dopiero przez faktyczne przywłaszczenie *(occupatio)* staje się własnością uprawnionego do polowania a poprzednio jest rzeczą niczyją *(res nullius)*, w obec której przysłuża uprawnionemu do polowania tylko wyłączne prawo przywłaszczania.

Trzymając się dosłownego brzmienia §. 12. i z tego wyciągając wnioski, doszłoby się do istnych absurdów, jak naprzykład, iż zwierzyna przemykająca z jednego obszaru myśliwskiego do drugiego, za każdym razem zmienia swego właściciela, że można w sposób nowy dotychczas nie znany i ustawą cywilną nie unormowany nabyć własność. Wątpić wypada, czyli autorowie projektu zamierzali zrobić taki wyłom w zasadach prawa cywilnego.

Dalej zaliczyć tu należy ciągłe i konsekwentne używanie wyrazu „dzikie świnie“ zamiast „dziki“, podczas gdy według

słownika Lindego i podręczników zoologicznych „*sus scrofa Lin*“. (Wildschwein) w piśmiennictwie nigdy „dziką świnią“ nazywana nie bywała, a to wyrażenie nawet w potocznej mowie w tem znaczeniu, o ile mi wiadomo, używanem nie bywa, tem mniej w języku łowieckim. Również dziwnem jest rozróżnianie w §. 13. „dzikich kotów“ i „żbików“, gdy w dalszym ciągu ustawy o „dzikich kotach“ nie ma już wzmianki. Nie jestem w stanie osądzić, czyli tu zachodzi tylko tautologia i pomyłka analogiczna do powyższej co do „dzikich świń“, co w tym wypadku prędzej by było do wybaczenia, gdyż wyraz „dziki kot“, aczkolwiek mniej właściwie, w takiem znaczeniu bywa używany; czyli też pod nazwą „dzikich kotów“ mają być objęte koty domowe zdziczałe, lub czy wreszcie autorowie rozróżniają może jakiś nowy rodzaj drapieżców rodu kociego, od żbików odmienny.

Wreszcie wypada jeszcze podnieść arcynieszczęśliwą stylizacyę §. 79., wedle której polujący nieprawnie na obcym obszarze, może być przez straż łowiecką „do miejscowego urzędu gminnego zaprowadzony celem zbadania jego osobistości, jeżeli nie daje poznać swego nazwiska (sic!) lub zamieszkanie jego nie jest znanem.“ Niedorzeczność tej stylizacyi zostawiamy do osądzenia czytelnikom, wstrzymując się od dalszych w tej mierze uwag.

Przy §. 79. nasuwa się nam uwaga dotycząca wady innego rodzaju, którą w projekcie często dość znachodzimy. Jest to brak dokładności w legislatywnem opracowaniu projektu, wskutek tego przepis w jednym paragrafie zawarty jest z przepisem zawartym w jakimś innym w sprzeczności lub też wprawdzie nie jest sprzecznym, lecz przecież nie zupełnie tamtemu odpowiada, albo wreszcie normy ustawy nie są wyczerpujące. I tak nie wiadomo, dlaczego prawo przyznane straży myśliwskiej w §. 79. nie ma się rozciągać na przestępców ustępu c) §. 70 t. j. na tych, którzy bezprawnie z bronią się znajdują na cudzym obszarze myśliwskim? A byłoby to bardzo wskazanem już dla trudności, którą sprawia w wielu wypadkach rozstrzygnięcie kwestyi, czyli ktoś bezprawnie z bronią na obcym myśliwskim obszarze nadybany, tamże polował lub nie. Dalej nie postanowiono, co się ma dziać wówczas, gdy i w miejscowym urzędzie gminnym nie będzie można skonstatować osobistości i miejsca zamieszkania zatrzymanego przestępcy. A to się przecież bardzo łatwo może zdarzyć.

Sprzeczność zachodzi dalej między §. 13 a §. 51. W pierwszym bowiem przyznano każdemu prawo do tępienia wymienionej tamże szkodliwej zwierzyny na swoim gruncie wszelkimi sposobami. Do wymienionych tam szkodników należą i wydry. Otóż co do tych wyklucza §. 51 przy ich tępieniu użytek broni palnej. Możnaby mniemać, iż §. 51 chce ustanowić wyjątek od ogólnej normy §. 13, gdyby można na to jakąkolwiek przyczynę wynaleźć. — §. 5 ustanawia, iż w razie nieregularnego odgraniczenia obszarów myśliwskich, mogą być pojedyncze parcele z jednego obszaru do drugiego celem zaokrąglenia przyłączone. Nie wspomina atoli nawet o tem, czyli w takim wypadku właścicielowi odłączonego kawałka należy się jakie wynagrodzenie, ani też o tem, co się ma stać, jeśli strony interesowane, a będzie ich zawsze przynajmniej dwie, różne stawiają żądania i t. d. i t. d.

Najwięcej zaś rażąca sprzeczność zachodzi między §. 37 a §. 38. Pierwszy z nich daje uprawnionemu do polowania prawo zabijania psów goniących lub tropiących zwierzynę po za obrębem 300 m. od obejść, §. 38 natomiast upoważnia go do zatrzymania cudzych psów myśliwskich, które przypadkiem przejdą na obcy obszar. Nie jest wyjaśnionem, w jakim stosunku te dwa przepisy do siebie stoją, czyli drugi jest wyjątkiem i ograniczeniem pierwszego, z którym jest w zupełnej sprzeczności? Tem mniej jest wyjaśniona kwestya, jak można rozpoznać psy myśliwskie, t. j. będące własnością kogoś, który jest uprawnionym do polowania, (bo o takich tu tylko może być mowa), od innych psów goniących lub tropiących zwierzynę, tak samo też nie jest podany sposób, w który uprawniony do polowania może wymierzyć odległość 300 metrów od zabudowań mieszkalnych, po za którą wolno psy goniące zwierzynę zabijać, jak nie jest powiedziane, czyli to prawo służy wobec psów chodzących po lesie samopas lecz niegoniących, lub też goniących pomimo zaopatrzenia w przepisany klocek. Co do przepisu §. 38 to on sam w sobie jest niedostatecznym. Nieskuteczność jego okazuje się w tym razie, jeśli psy zatrzymane szkody nie zrobiły żadnej, a zupełnie traci prawo w nim przyznane na wartości, jeśli właściciel psów nie chce wynagrodzić kosztów żywienia i szkody i psów odebrać. W takim razie, jeśli §. 38 ustanawia rzeczywiście wyjątek od §. 37, nie pozostaje nic innego, jak psy, których zabić nie wolno, pokarmiwszy je przez jakiś przeciąg czasu, puścić na wolność, aby wróciły do swego pana i może następnego dnia znów „przypadkiem“ — a jak trudno przypadek rozróżnić od umyślnego czynu, to każdy wie — znalazły się w obcym rewirze.

Otóż przeszliśmy w nowy zakres, do kwestyi merytorycznego osądzenia projektu, do kwestyi rozważenia zasad, na których projekt się opiera. — To, cośmy wykazali o formalnej stronie projektu, to się da powiedzieć i o ważniejszej kwestyi zasad, zawartych w projekcie w mowie będącym.

Jak już ze względów formalnych, o których dotychczas mówiliśmy, projekt nie nadaje się do tego, aby stanowić choćby punkt wyjścia dla obrad sejmowych, tak i zasady, które wypowiada projekt, byłyby po części zgubnemi, gdyby w życie wprowadzone zostały. Nie będziemy tutaj na nowo omawiać różnych kwestyj zasadniczych, które aczkolwiek z wielu stron zwalczane, przecież jako leżące w ogólnym prądzie, przez każdą ustawę łowiecką uwzględniane być muszą, jak n. p. kwestya kart myśliwskich, kwestya dozorców polowania i ich kwalifikacyi. Nie myślimy też zgoła zaprzeczać, że projektowana ustawa łowiecka pomienione kwestye, jako też i inne główne elementarne zasady w odpowiedni wcale sposób uwzględniła, a nawet przez zaprowadzenie premii za tępienie drapieżców i kar za przekroczenia myśliwskie, zainaugurowała dwie nader pożądane reformy. Mimochodem musimy jednakowoż zaznaczyć, że najgłówniejszą trudność co do kwestyi kwalifikacyi dozorców łowiectwa, t. j. pytanie co do składu komisyi egzaminacyjnej projekt ominął, pozostawiając uregulowanie tej kwestyi c. k. namiestnictwu w drodze rozporządzenia. Jeżeli jednakowoż z zasad ogólnych przejdziemy do sposobu unormowania poszczególnych instytucyj i stosunków prawnych, to znajdziemy to, cośmy wyżej orzekli, iż przepisy ustawy są nieodpowiednie, z wymogami życia niezgodne, a w zastosowaniu okazałyby się zgubnemi.

Nie całkiem tak ostro należy osądzić przepis §. 14, zakazujący ścigania zwierzyny zranionej na obcym obszarze; przepis ten przedstawia się wobec §. 70, zakazującego pod karą chodzić z bronią po obcym rewirze i w obec tego, iż każdy ma prawo zabronić i zakazać obcym chodzenia po swym gruncie, tylko jako niepotrzebny. Ściganie zwierzyny zranionej z bronią w ręku jest przekroczeniem ustawy, chodzenie za nią bez broni czynem obojętnym, którego atoli właściciel gruntu może zabronić, przywłaszczenie zaś zwierzyny, która na obcym gruncie padła, aczkolwiek na własnym strzelana, podpada pod ustawę karną.

Dr. Frydryk Kratter.

(Dokończenie nastąpi).

Nie podlega żadnej wątpliwości, że galicyjska ustawa łowiecka potrzebuje reformy. U nas rzeczywiście może jedna tylko ustawa łowiecka najmniej ze wszystkich jest ściśle wykonywaną, a budząc zajęcie tylko pewnych warstw społeczeństwa i osób, które w stosunku do ludności kraju nie wielki stanowią poczet, prawie wyłącznie przez te tylko warstwy społeczeństwa i to nie zupełnie szanowaną bywa. Reszta ludności zachowuje się względem ustawy obojętnie, jeśli nawet nie wrogo i uważa ją jako wymysł dla przyjemności posiadaczy ziemskich lub amatorów polowania wynaleziony. To też chroma ona i chromać będzie zawsze, jeśli nie zostanie tak ułożoną, aby wszystkie ewentualności jasno określone były z jednej, z drugiej zaś strony ile możności na najsłuszniejszych opierała się podstawach. Ankieta łowiecka wiele rzeczy dobrych i pożytecznych proponowała, lecz nie da się zaprzeczyć, że są pewne punkta niejasne, które zdaje mi się mogą bardzo niekorzystnie oddziałać. Chcę tu mówić głównie o postanowieniu, że „tam, gdzie dziki robią większe szkody, mają c. k. Starostwa wydawać certyfikaty bezpłatne od 1. Lipca do 1. Listopada moc swoją mające“. Punkt to ważny i proszę się nad nim dobrze zastanowić, jest tu niejasność, która tysiączne trudności zrodzić może. Chciałbym n. p. wiedzieć jak oznaczyć większe szkody i jak je od małych odróżnić, jakakolwiek bowiem jest szkoda, zawsze ona inaczej jak szkodą nazwaną być nie może. Trudno, aby Starostwa odmawiały pozwolenia na broń z tej przyczyny, że szkody przez dziki zrządzane są małe, choć dla tego, który ich doznaje, mogą być dotkliwsze, w takim bowiem razie musiałyby być oznaczone okolice, gdzie szkody jako znaczne uważane być mają, ale każdy wie dobrze, jakie to byłyby trudności w oznaczeniu takich rejonów. Ci zatem, którzy tak zwanych mniejszych szkód doznają, byliby z pod ustawy wyjęci i bezbronni na pastwę dzików oddani.

Dalej zapewne zapomniano o tem, że u nas są grunta i łąki po lasach, często w niewielkich parcelach na znacznych porozrzucane przestrzeniach. Ankieta nie określa i nie może określić, gdzie i na jakich miejscach bronić się od szkody można. Każdemu tedy posiadaczowi przysługiwać musi prawo obrony albo gruntu albo łąki, jakie posiada w lesie, czyli mówiąc wyraźnie, czy na zająca lub sarnę zasiadać zamyśla. Proszę sobie wystawić, gdy na zewnątrz i wewnątrz lasów zaczną po nocach (bo tylko wtedy dziki na żer wychodzą) padać strzały gęste, to żadna choćby najliczniejsza straż nie jest w stanie skontrolować, do czego strzelano. Dziki będą wszędzie i na każdem miejscu, tylko liczba ich bynajmniej się nie zmniejszy, lecz natomiast zmniejszy się inna zwierzyna, dla której to podniesienia i ochrony nowa ustawa ma być wprowadzoną w życie.

Idzie jeszcze i o to, co będzie się robić do 1. Lipca, od którego to czasu pozwolenia na broń wydawane być mają? Przecież dziki do tego dnia nie będą się od szkód wstrzymywać, aby zadość uczynić obowiązującym przepisom. Wiemy o tem dobrze, że one najpierw robią szkody w kartoflach, nim jeszcze powschodzą; mamy więc znowu niejasny punkt ustawy mogący zrodzić zajścia nieprzyjemne.

Nie ma wątpliwości, że o pozwolenia na broń najwięcej zgłosi się takich, przeciw którym obecna ustawa ma być obostrzoną, to jest kłusowników. Ci którzy do strzelby pasyi nie mają, ci z pewnością nie będą się pozwolenia domagać, zresztą ludzie tacy nie posiadają strzelb, a nabywać ich nie wielką będą mieć ochotę, choćby dlatego, że rezultat strzału niepewny a pieniądze wydać trzeba. Inaczej rzecz się mieć będzie z kłusownikami, a z pewnością najliczniej zgłoszą się o pozwolenia, a wtedy ustawa będzie w kolizyi sama z sobą, bo jeśli z jednej strony pozwolenia na broń podejrzanym o kłusownictwo c. k. Starostwo nie wyda, to z drugiej strony trudno odmówić takiemu, kto od szkody bronić się jest obowiązany, i może faktycznie jej doznaje. Będą więc kłusownicy uprawnieni na kilka wprawdzie miesięcy ale zawsze będą. Wszak znamy naturę kłusownika, nie może on mimo dozoru i kary, jaka go spotkać może, wstrzymać się od polowania, i zawsze jest gotów strzelać każdego dnia w roku, to też trudno wymagać, aby widząc zająca lub sarnę nie pokusił się strzelić, tembardziej, gdy mu to ułatwiono, i gdy zawsze łatwo znajdzie odpowiedź, że do dzika strzelał. Tego istotnie trudno wymagać, to silniejsze od niego, znaczy to po prostu wodzić kogoś na pokuszenie.

Nie trudno też przewidzieć, jaki będzie koniec i skutek ustawy, oto prędzej czy później, zwolna będą następować skargi i procesa skutkiem nadużyć; naturalnie wtedy nastąpić musi konfiskata strzelby i odmowa nadal w udzielaniu pozwoleń tym, którzy ich nadużyli. Tym sposobem utraci prawo własnej obrony od szkody połowa lub $^3/_4$ z tych, którzy prawo to posiadali i pozostanie fakt nagi, że nikt nie jest odpowiedzialny za szkody, ale nikt też nie będzie miał prawa bronić się od nich. Co wtedy powiedzą o nowej ustawie? Komentarzy do tego zdaje się nie potrzeba; za jednymi będzie prawo, za drugimi słuszność.

Bez wątpienia nie jest rzeczą przyjemną wynagradzać szkody; prawdą jest i to, że często są wymagania ze strony poszkodowanych tak wygórowane, iż w śmieszność przechodzą. Sam nawet miałem raz wykaz poszkodowanych, przez nich samych robiony, gdzie tyle korcy pszenicy zniszczonej było przez dziki, ile nie produkuje pewnie niezły folwark, gdy tymczasem rzeczą jest pewną, że poszkodowani wszyscy razem wzięci ani korca pszenicy nie wysiali. Kto wszakże dziki proteguje, kto się o to stara, aby były u niego, kto je żywi, w jakikolwiek inny sposób opieką otacza, lub też jak należy nie poluje, ten bez wątpienia płacić za szkody powinien; gdyż trudno przypuścić, aby chciał swą przyjemność kosztem ubogiej ludności osiągać. Tam gdzie dziki są przechodnie, w liczbie niewielkiej, gdzie ich bynajmniej nie oszczędzają i gdzie za każdem ich okazaniem się w polach, zaraz się poluje, na co gminy chętnie dają nagonki, czy to wśród lata czy z wiosną; tam szkód wielkich nigdy nie będzie; a wiem to z własnego doświadczenia piętnastoletniego, iż tym sposobem bronić nietrudno siebie i ludzi od szkody. Można też odstraszać dziki z pól przez palenie ogni na miejscach, gdzie wychodzić mogą, a kilkanaście lub więcej fur zbiórki albo gałęzi, rozdanych włościanom, których pola na szkody są wystawione, nie może żadnej stanowić rubryki, bo tam, gdzie przebywają dziki, są lasy znacznych rozmiarów. Ustanowienie kolejnych dyżurów ze straży leśnej, aby po nocach strzegli pewnych przestrzeni i często choć na wiatr strzelali, również dobrze skutkować może. Najważniejszy i najtrudniejszy czas strzeżenia jest do sprzętu zboża, kiedy często dzik w życie lub owsie ukryty ryje sobie spokojnie. Po żniwach, gdy pola są czyste, jedne tylko kartofle pozostają do strzeżenia, i wtedy daleko łatwiej można się od szkody ochronić; gdyż i dzik jest widzialny i jeden tylko przedmiot do obrony zostaje.

Jakkolwiekbądź, należy koniecznie na seryo pomyśleć o tępieniu dzików i zmniejszeniu ich liczby, jest to zwierz szkodliwy, który w łąkach i kulturach leśnych zrządza nie małe szkody. Ale co ważniejsze jest on kością niezgody między dworem i gminą, jest przyczyną szemrań, niezadowolenia i złej

krwi. Każdej wiosny i lata odnawia jak zły duch to, co zima i jesień zatarły w pamięci. Trzeba z bliska dotykać i słyszeć wszystko, aby sobie zadać pytanie: czy warta jest ta dzika świnia tego co się traci?

Ustawa o danielach i jeleniach nie wytrzymuje krytyki. W nr. 11. „Łowca“ z 1. Listopada pisał o tem pan L. D. Nie mogę jednak zgodzić się z szanownym autorem artykułu co do wzmianki o szkodach przez sarny i zające zrządzane. Sarny mało w pola wychodzą, a w jesieni, jeśli czasem pokażą się na oziminie, to szkody nie zrządzają przez to, gdyż na zasiewach ozimych pasiemy owce i bydło nawet. Co do zająca, to ten nie jest u nas tak liczny, jakby należało, a tam tylko, gdzie są winnice, z zającem rachować się trzeba. Godzę się natomiast w zupełności co do odparcia zakazu polowania w niedzielę, w niczem on nie przyczyni się do podniesienia zwierzostanu, a przeciwnie wielu osobom przykrość tylko sprawi, a może nawet i złego być przyczyną, gdy bowiem przeciągające wilki schwyciwszy sarnę objedzone zalegną na chwilę gdzie w lesie, to pewnie do poniedziałku czekać nie będą.

Co do opłaty za karty myśliwskie, to istnieją one w całej cywilizowanej Europie i nie widzę przyczyny, dla czego my mielibyśmy wyjątek stanowić. Czy zaś one przyczynią się do ochrony zwierzyny, to nie ulega żadnej wątpliwości Nie chcę w tej chwili tu dowodzić, wdzięczny jestem tylko twórcy tego wniosku. Fundusz z nich uzyskany mógłby być z korzyścią użyty nie tylko na wynagradzanie tępienia drapieżników, ale także służyć tym gminom, które często ludzi na obławy dawać muszą bezpłatnie, gdy idzie o dziki lub wilki. Nie byłoby bez skutku, gdyby takiej gminie, która wydzierżawiwszy polowanie strzeże i nie pozwala nikomu niszczyć gniazd i młodych zajęcy, nie dozwala polować, na przedstawienie dzierżawcy, jakiej nadgrody udzielić. Gmina powinna być odpowiedzialną za całość i nietykalność tego, co wydzierżawia, a tam gdzie dzierżawca szkody doznaje, powinien uzyskać, gdy rzecz udowodni, zmniejszenie czynszu. Przecież kto wydzierżawia folwark, nie może ani robić szkody, ani zabierać tego, co się urodziło na polu dzierżawcy, bo w takim razie on potrąci sobie to z czynszu dzierżawnego. Tu dzieje się przeciwnie, składa się kaucyę, płaci czynsz dzierżawny z góry, bez żadnej gwarancyi ze strony wydzierżawiającego. Wójt ma w gminie władzę i z pewnością gdy nakaże, prędzej go się bać będą jak dozorcy lub dzierżawcy.

Dotąd po największej części wszyscy myśliwi tylko czworonożnym zwierzem się zajmować zwykli, skrzydlata zwierzyna mało niestety bywa braną w rachubę; a przecież kuropatwa bardzo przyjemne polowanie stanowi. Od strzałów kłusownika w jesieni i w lecie nie wiele jej ginie i najmniej z tej przyczyny cierpi w tych czasach. Za to na śniegach ginie całemi stadami, bo się da blisko podjechać i do całego stada można kilka razy strzelić z jednego miejsca. Tam zaś gdzie są do tego osobni amatorowie, wyłapują je oni na sidła. To też nigdy do takiej ilości, jakby należało, przyjść nie możemy; lat parę szczęśliwych a rozmnożą się znacznie, jedna zima śnieżna całą pracę i zabiegi w niwec obraca.

Radykalnemu złemu tylko radykalne środki skutecznie zaradzić mogą, a temi są: 1o absolutne z a k a z a n i e p o l o w a n i a n a ś n i e g u, 2o o d p o w i e d z i a l n o ś ć o s t r e m i k a r a m i o b ł o ż o n a zarówno tego, co ł a p i e l u b s t r z e l a jak i n a b y w a j ą c e g o, ci bowiem ostatni większą są przyczyną złego. Na targach i w miasteczkach żandarmerya powinna czuwać nad sprzedażą kuropatw. Żywe zazwyczaj nabywają izraelici, którym strzelanych jeść nie wolno. Mam niepłonną nadzieję, że gdyby ustawa taka przyjętą i w życie wprowadzoną została, mielibyśmy mnóstwo kuropatw i nie cierpieli braku, jaki sprawia jedna tylko nie sprzyjająca zima.

Jan Ligman.

REB DUWID

przez

A l e x a n d r a U b y s z a.

Zapewne dziwaczne się wyda czytelnikowi wprowadzenie do pisma łowiecko-przyrodniczego osoby, która objawów ani rycerskiego ani myśliwskiego ducha nie zwiastuje. Dla czegożby jednak mój bohater nie mógł być w tym względzie białym krukiem?

Już to my Polacy, jak może żaden naród inny, odznaczamy się gorącą miłością stron rodzinnych, do nich też jeżeli nie faktycznie, to przynajmniej myślą, jak muzułmanin do Mekki, żyd do Jerozolimy, skwapliwie dążymy. Tak też i ja, choćby z najdalszych stron, do których mnie los zapędził, chętnie spieszyłem do ziemi Bełzkiej, do wsi Ostobuża, gdzie stał jeszcze domek mój rodzinny, lubo dawno już bardzo ojciec mój go opuścił.

Pewnej jesieni okulbaczywszy klacz moją wierzchową w kozackie siodło, ruszyłem z przed ganku Kamienopolskiego sporym kłusem i jednym dniem przebywszy opętanych 9 mil drogi, stanąłem w Ostobużu. My z moją kasztanką bardzośmy się dobrze rozumieli. Znała ona słabość moją skracania dróg ścieżkami, sogłówkami i tym podobnymi wykrętasami. Każdyby pewnie zbłądził, tylko nie ja i moja kasztanka. Inaczej ona chodziła z chartami lub w niedaleką wycieczkę, a inaczej w dalsze strony, a szczególnie do Ostobuża, co już czuła po kulbaczeniu. Gdy poczuła na sobie oprócz siodła kozackiego mantelzak i sakwy, w których mieścił się prowiant dla mnie i dla niej, to doszedłszy do wsi Prus, nie stąpała bitym gościńcem, lecz ku północy w pole skierowawszy, czesała miedzami i sogłówkami ku Dublanom, dalej polami lub łąkami do Doroszowa i murowanym gościńcem do Kulikowa i Żółkwi. Rozumne i sprytne to było stworzenie, byle raz drogą jaką lub ścieżką szła choćby w nocy, już je pamiętała, toż nieraz w wątpliwości spokojnie opuściwszy cugle, powierzałem jej moje losy. Obdarzyłem ją tą ufnością po następującym wypadku. Pewnego roku wyruszyłem do Ostobuża nocą, bo dnie były zbyt gorące. Z Żółkwi nie jechałem sławną z wybojów i ogromnych kamieni groblą Bojaniecką, lecz przez łąki i pola zdążałem ku lasowi wsi Zameczka. Księżyc świecił jasno, więc przeprawa przez nieszeroką lecz błotną rzeczułkę Świniuchę była łatwą. Zaledwie wszakże zagłębiłem się w las, pokryły czarne i gęste chmury tarczę

księżyca i zrobiło się ciemno zwłaszcza w młodym, gęstym lesie sosnowym. Ja oryentować się nie mogłem, więc zdałem się na instynkt mojej klaczy, która znając już ten las, szła wyciągniętym kłusem mimo krzyżujących się dróg. Jednak zdało mi się, że drogę zmyliła, więc skierowałem ją w stronę przeciwną, którą stąpała czas jakiś, ale wnet nawróciła na drogę poprzednią. Prętem i wędzidłem przemogłem jej upór, ale skutek okazał, że klacz miała racyę, bo zamiast przebyć las w szerz, jechałem przez jego długość. Noc była ciemna, nie pozostawało nic innego, jak nocować. Rozkulbaczyłem klacz, zawiesiłem jej na uszy torebkę z owsem, a sam rozłożyłem się na rozpostartym wojłoku i przedrzemałem niedługą noc czerwcową. O świcie ruszyłem w dalszą drogę, niestety przedłużoną, zamiast skróconą, bom nie ufał mojej klaczy wczoraj.

Stryj mój miewał dobre charty, toż gdym do niego przybył, mimo zmęczenia dość daleką podróżą, odbytą konno, nazajutrz ruszyłem z braćmi na łowy. Ledwie uszczuliśmy dwa zające, odwołał nas chłopak wysłany z dworu, ponieważ przyjechali dwaj oficerowie od huzarów, z którymi stary pan nie mógł się rozmówić. Był to rotmistrz i świeżo awansowany z kadeta na porucznika baron czy hrabia węgierski. Stryj mój miał dość liczną stadninę niezbyt rasowych, lecz znanych z wytrwałości i braku dziedzicznych wad koni, dość nawet rosłych. Młody oficer z mentorem swoim rotmistrzem przybyli w celu kupienia dwóch koni, potrzebnych do wyekwipowania się porucznika.

Starsi pamiętają, jak wyglądały stajnie średniej naszej szlachty, toż nie dla nich, lecz dla młodszego pokolenia rzucę kilka słów o nich. Nie łatwa to rzecz po wspaniałym opisie w „Mohorcie“ W. Pola lub w dziele znakomitem Czapskiego, więc ściśle tylko się będę trzymał prawdy, nie puszczając wodzy fantazyi. Obecnie z wyjątkiem kilku stadnin magnackich, małych szlacheckich prawie w Galicyi niema. Koleje żelazne i wiele innych przyczyn przywiodły chów koni niemal do zupełnego upadku. Dziś rentuje się chów koni tylko rasowych, wysokiej miary, tak zwanych karecianych lub grubopłaskich mierzynów folwarcznych. I jedna i druga rasa pokupna, szczególnie koni karecianych, pochodząca z Polski, posiada ona największą po angielskich, słusznie nabytą sławę w Europie i wychodzi do Austryi, Niemiec, a nawet Francyi i Włoch. Włócząc się niegdyś po obcym świecie, często mówiłem z amatorami koni i handlarzami, wszyscy oni przyznawali pierwszeństwo koniom pochodzącym z Polski, wolno w stadzie chowanym. Wiedzą oni z doświadczenia, ile wart koń od źrebięcia chowany w stajni, pędzony jak ciasto drożdżami w górę, kartoflami, wytłoczynkami z buraków, młótem lub wreszcie brahą. Źrebiec tym sposobem chowany, prawdziwie jak baba wielkanocna, drożdżami w górę wypędzony, wątły też jak ciasto drożdżowe, dojrzewa szybko, w trzecim roku koń z niego już uformowany, skończony, a w ósmym? — mimo oszczędzania i dobrej karmy — dziad wywłoka. Inaszej się dzieje z źrebcami, które do lat czterech bujały w stadzie. W pierwszym roku w zimie źrebię dostawało owies, w drugim obrok trzeciak, a w trzecim zgoniaki i lepsze siano, latem wszystkie szły na paszę, jak mawiano „na sałatę“. Żadne z nich nie bywało spasione. Szlacheckiej stadninie często brakło paszy, ale to jakoś na dobroć i wytrwałość źle nie wpływało. Nieraz chudy, nierozwinięty źrebiec w połowie czwartego roku na stajnię wzięty, przy zdrowej karmie łatwo pokrywał swoją jasnokościstość i nie rozrastał się jak źrebiec niemiecki pędem strzały, lecz powoli, bo mawiali dawniej nasi hodowcy koni: „co nagle, to po diable“, „statecznie to bezpiecznie“. Toż koń polski rósł i rozwijał się do lat siedmiu, „lat siedem dzielnie służył, a trzy lata ziemię płużył“, więc lat 17. Bywały też wypadki, że koń polski z przymieszką krwi wschodniej i dłużej dzielnie służył. „Konia z rzędem“ z mej strony, kto mi pokaże konia z źrebięcia chowanego w stajni i po niemiecku pędzonego kartoflami, chociażby nawet miał czystą krew koni wschodnich, słynnych z długożywotności i użyteczności, któryby w 10 latach swego żywota nie był kompletnym niedołęgą.

Stryj mój, jak to już rzekłem, nie miał zawodu koni zbyt rasowych i rosłych, rzadko który nad 15 miarę wystrzelił, żaden nie odznaczał się też ani zbytnią urodą, ani też brzydotą. Nasiennemi klaczami owego później dość licznego stada były „skupki“, t. j. klacze skupowane w różnych stronach, nie wyglądające wcale na „rodowody“. Byle niezbyt stara bez wady dziedzicznej, a „głęboka“, to i dobra. Łaskawi zamożni sąsiedzi, Romanowski z Rzeczycy, który miał prześliczne stado koni polskich, a później Obniski z Mycowa, swymi arabsko-angielskimi stadnikami, pomagali bratu szlachcicowi, że w końcu dochował się niezłego stadka. Przeglądnijmyż owych źrebców Ostobuskiego stada, stojących w osobnej stajni bez podłogi, bo utrzymywał stryj, że na deskach konie w ogóle, a źrebce tem rychlej tracą nogi i dodawał:

„Adwokat bez głowy, koń bez nóg, podusty chart,
Diabła wart.“

Pierwszy „Krzywołysym“ zwany, bo miał niewielką łysinkę nie wprost ku chrapom, lecz od górnej połowy nosa w bok nieco idącą, wiśniowo gniady, z czarnemi grzywą i ogonem. Po opatrzeniu mówi rotmistrz: „*Echtes Campagne Pferd.*“ Oficerek jakkolwiek Węgier, lecz papinek wychowany prawdopodobnie w babińcu, tyle się znał na koniach, ile ja na astronomii, odpowiada: „*Zu wild für mich.*“ Zagrała we mnie krew, więc rzeknę po niemiecku: „No mamy też i woły dziwnej łagodności, są do nabycia.“ Spiekł raka gołowąsy oficerek, a rotmistrz, chłop jak dąb, Niemiec, przygryzł wargi i ani pisnął. Z kolei przeglądano wszystkie młode konie. Rotmistrz wybrał „Krzywołysego“ i „Młotka“ ciemno-kasztanowatego, a zwał się tak, bo miał gwiazdę na czole tego kształtu. Młody oficer nie śmiał się sprzeciwić, ale widocznie nie był rad temu wyborowi i ciągle swoje „*wild, stützig*“ powtarzał. Koń to był istotnie z krwią i cokolwiek za dziki, ledwie na uździennicy „obtargany“, i dotąd nikt na nim nie siedział. Mówię tedy do stryja: „Pokażę temu k . . . . , że to koń ani dziki ani uparty.“ Stryj mnie reflektował, ale uparłem się tem bardziej, że braciszkowie oczami mnie zachęcali do tego nierozważnego kroku. Więc siodłać. Czterech ludzi trzymało prychającego i rzucającego się konia, ja siadam, przy czem koń skulił się, przyczaił niejako. „Puszczaj!“ wołam do ludzi. Chwilkę stał koń w miejscu, jakby zatumaniony, naraz począł ciąć szczupaki, później wierzgać. Po tych płonnych eksperymentach zrzucenia mnie, począł jak wściekły uganiać ze mną po dziedzińcu, tłuc się po zakątach, upadł nawet utknąwszy o kłodę przy drawutni. Stryj, bracia, rotmistrz widząc grożące niebezpieczeństwo, pędzą chcąc pochwycić i wstrzymać rozszalałego konia, niepo-

dobna ani mnie zatrzymać go, ani im ująć. Wierzgnąwszy kilka razy, wypadł ze mną poza bramę wjazdową na piaszczyste pole wprost ku lasowi pędząc. Smutne dla mnie widoki rozbicia się o pierwszy lepszy pień. Do lasu nie było blisko, rola piaszczysta, więc ciężka, toż rychło pęd konia nie był tak szalonym, wreszcie z galopa przeszedł w kłus, stępo, nakoniec stanął czyli raczej rozparł się, cały okryty pianą. Stanął jak pień, ani go naprzód popędzić, ani zwrócić ku domowi. Po niespełna ćwierć godziny złagodniał jak jagnię lub koń ujeżdżony, dał się zwrócić i stępo chwiejnym krokiem ruszył ku domowi. Kto żył i mógł się dorwać konia, nawet rotmistrz, ale nie papinek, pędzili w rożne strony szukać mnie, lecz nie mogli dostrzedz z powodu pagórka, który zasłaniał. Wnet skupili się przy mnie, nawet wóz wyścielony słomą nadciągnął, mający zabrać potłuczonego jeźdźca lub jego zwłoki. Mimo tryumfu powróciwszy odebrałem od stryjanki i sióstr porządnego kpa. Wszyscy mi winszowali, nawet porucznik i istotnie było czego, bo łaska Boska i zuchwalstwo, które mi przytomności nie odjęło, ustrzegło mnie od szwanku.

Dano znać, że stadninę przypędzono z pola, wszyscy wyszliśmy oglądać ją. Właściwie nie było co pokazywać, klacze stadne i źrebki do dwóch lat, trzyletnie pasly się osobno w zagrodzeniu, dość były chude z wypłowiałym od słońca włosem, z mnóstwem rzepiaków w grzywach i ogonach, co wszystko nie bardzo stado zalecało. Rotmistrz zdziwiony widokiem tych chabet lub dużych brudasów, zapytał, czy kupione przez niego konie pochodzą z tego lub innego stada. Służąc za tłumacza, wykazałem preferencyę koni polskich tym trybem hodowanych nad ową zwykłą u Niemców „*Stallfütterung*“, w czem rotmistrz przyznał mi słuszność.

Zajęci przeglądem koni nie uważaliśmy, że w bramę wjazdową wstąpiły jakieś dwie obce postacie, z których jedna na koniu. Był to żyd w długim chałacie, ze spiętemi w kształcie fraka połami, w spodniach płóciennych krótkich do kolan, niższą zaś część nóg pokrywały pończochy, a stopy płytkie patynki, utrzymywane na nogach chyba jakąś wielką wprawą. Siedział na koniu, jak to mówią: „jak pies na płocie“. Druga postać pieszo czy na koniu? na razie nie mogłem osądzić. Po barkach spływał długi płaszcz barwy szaraczkowej, tak zwana „owcza peleryna“, z czerwonym kołnierzem, płaszcz ten sięgał niemal samej ziemi. Z przodu jego wyglądało coś niby głowa prawdziwego lub, jak go używają w teatrach, sztucznego konia, na którym jak w krotochwili „Skalmierzanki“ harcuje bakałarz Kwik i zdun Pietrek. Wreszcie z pod zagadkowej owej postaci wymknął się konik małych rozmiarów, a osobą okazał się leśniczy z Zielonej, Michał Czajkowski, z którym zaznajomiłem już czytelnika w dawniejszych numerach „Łowca“. Stryj mój i wszyscy domowi lubili i szanowali go, toż pożądanym był gościem. Żyd, niby adjutant jego, to bohater mego opowiadania, Reb-Duwid. Ukłoniwszy się nam wszystkim uniżonem zdjęciem baraniej krymki z swej upejsowanej głowy, oznajmiwszy, że jedzie na nocleg do Herza, arendarza tutejszego, zwrócił swego prawdziwej Mosteńskiej rasy wielkogłowego i kłapouchego rumaka i wyjechał śród naszego choralnego śmiechu „świńskim truchtem“ za bramę.

Leśniczy Czajkowski znał się na koniach i lubiał je, toż ponowiliśmy przegląd stadniny, jakoteż przypędzonych dwulatków. Leśniczy władając biegle językiem niemieckim, dysputował z rotmistrzem. Mówię ja do leśniczego: „Panie Michale, pokaż oficerom swoją Handzię.“ Pod względem budowy w stosunku swoich drobnych rozmiarów, była ona istotnie osobliwością, szczególnie dla Niemców, nie znających koni małych rasy huculskiej, a mających budowę konia najmniej 16 miary. Opowiadam tedy oficerom o tej ciekawej klaczy, oni zaciekawieni tem, poczęli domagać się ukazania im tego fenomenu. Rotmistrz prosi, aby ją wyprowadzono, leśniczy gwizdnął przeciągle, poczem odezwało się ze stajni rzenie końskie i po małej chwili przybiegła Handzia. „*Was?* — woła rotmistrz sądząc, że z niego zażartowano — to pudel nie koń?“ — „Tak, pudel — odrzekł leśniczy — a jednak nie ma jeźdźca, któryby z niego nie spadł.“ — Na to chełpliwie odezwał się młody porucznik: „Ja siądę.“ — Przyniesiono siodło i okulbaczono Handzię. Tymczasem ja co tchu pobiegłem do pokojów, by zaprosić płeć piękną na to ciekawe widowisko. Salonowy kawaler dosiadł kobyliny, poszła z nim parę kroków, naraz wyelegantowany oficer znalazł się na ziemi i to w sposób nader komiczny, bo przewrócił w tył koziołka. Wszyscy, nie wyjmując rotmistrza, parsknęli głośnym śmiechem. Oficerek zaczerwieniony ze wstydu i gniewu, porwawszy się z ziemi, siadł znowu na grzbiet kobyły i ponownie runął fatalnie na ziemię. Po raz trzeci chciał siadać, lecz rotmistrz na to nie pozwolił, posądzając nas, że rozmyślnie dla skompromitowania oficera podstawiliśmy tę sztukmistrzynię. Widząc to i obawiając się awantury, mówię ja do oficerów: „Że konno jeżdżę dobrze, przekonałem panów, a jednak zobaczycie, że i mnie natychmiast powali, bo tylko swemu właścicielowi i jego służącemu jeździć na sobie dozwala.“ Siadam tedy, i ledwie ze stępa przeszedłem w kłus, leżę na ziemi. Jakżeż się było można na niej utrzymać, kiedy podczas biegu nagle niby pies siada na zadnich nogach. Leśniczy na potwierdzenie słów moich siadł na klacz, kłusował, galopował, zwracał w prawą i lewą stronę, wstrzymywał w miejscu, a wszystkiego dokonywał bez użycia cugli, zdjął bowiem z niej trenzelkę, kierując tylko głosem lub malutkim pręcikiem. To uspokoiło rozsierdzonych oficerów, młody porucznik chciał koniecznie nabyć klacz i ofiarował leśniczemu za nią 500 złr., ale on odrzekł, iż za żadne skarby świata jej odstąpić nie może.

Stryj mój z całą gościnnością przyjmował oficerów, którzy dokonawszy kupna, późnym wieczorem chcieli wracać do Wielkich Mostów, gdzie byli stacyonowani. Nie puścił ich, ojczysty napój porucznika lał się obficie, porucznik niezbyt tęgi jeździec, był w obcowaniu miłym i wykształconym, rotmistrz mimo swej żołnierskiej rubaszności przyjemnym towarzyszem.

Leśniczy przybył do stryja mego wezwany, słynął bowiem w całej okolicy jako pasiecznik dziki, umiejący wynajdywać, hodować i podbierać pszczoły, które gnieżdżą się w tak zwanych barciach, sosnach stojących w lesie. Jak w puszczach litewskich i amerykańskich, napotykać było można w starodrzewach szpilkowych roje dzikich pszczół, zwykle u szczytu starych, wewnątrz spróchniałych, dziuplastych drzew przebywających. Wtedy las Ostobuski, nie wielki, lecz gęsty, z staremi, olbrzymiego wzrostu sosnami, milowej blisko przestrzeni polami i łąkami otoczony, pełen był takich barci pszczelnych. Leśniczy umiał znakomicie wyszukiwać owe barcie. Jesienne podbieranie miodu takich pni dzikich, nie było rzeczą łatwą, wymagało ono obok zręczności w spinaniu się na smukłe, wy-

sokie, bez gałęzi sosny i pewnych przyrządów starodawnego wynalazku i domowej roboty, wówczas bowiem dzisiejszych „raków“ *(Kletterschuhe)* nie znano. Przyrząd po ludowemu nazwany „łazy“ opiszę niżej. Leśniczy wezwany przez mego stryja do podbierania barci, przybył z swym bardzo ważnym pomocnikiem w tej sprawie Duwidem, który, jak się naocznie przekonałem, był mistrzem w łażeniu po drzewach, używając do tego łazów, któremi lada kto nie umiał tak „obrzucać“. Umówiono się, iż nim nazajutrz rozpocznie się miodobranie, leśniczy upatrzy w lesie obfitsze barcie, a my tymczasem zapolujemy z gończymi w lesie lub z chartami na zające i lisy w polu, przed ogarami wymykające. Porucznik, którego zaciekawiło nieznane mu polowanie z chartami, przyłączył się do mego towarzystwa. Nazajutrz o świcie wyruszyliśmy na łowy, a leśniczy z Duwidem ku granicy Woronowa, gdzie najwięcej było barci. Podłożone w kniei ogary wnet poczęły grać, zwierz był gęsty, więc co nie wyszło na strzelców, to wymknęło w pole i szczuliśmy. Porucznik był zachwycony, zaręczał, że skoro dojdzie do pełnoletności i objąwszy majątek wystąpi z wojska, natychmiast kupi sobie kilka smyczy chartów polskich i zawzięcie będzie polować. Ubyszowie słynęli w Bełzkiej ziemi z dobrego miotu chartów, więc stryj mój darował porucznikowi smycz chartów w pierwszem polu będących. Dowiedziałem się potem, iż istotnie hrabia-porucznik w rok niespełna kwitował i powrócił do kraju, zabierając z sobą darowane charty.

Zaniechaliśmy łowów, gdy leśniczy dał znak trąbką o rozpoczętem miodobraniu. Stryjanka, siostry i kilka pań z sąsiedztwa wyjechały na to niezwykłe widowisko podbierania dzikich barci. Kucharz śród polanki leśnej przy ogromnem ognisku odgrzewał przywiezione potrawy, kozaczek Paweł Warga, słynny z siły w zębach, bo monetę miedzianą przecinał niemi, czołem tłukł laskowe orzechy i sławnie objeżdżał lisy, musiał z wielkiem swem umartwieniem zamiast polowania chartami lub gapienia się na podbieranie barci, zająć się kredensem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Ocean Atlantycki, 5. grudnia 1887.

Odjechałem z Europy nagle, pożegnawszy się mało z kim. Obietnicy co do opisu polowania, niestety w Europie nie mogłem dotrzymać z powodu nawału zajęć i zbytniego roztargnienia. Teraz jednak, kiedy od kilku dni tylko morze i niebo widzę, wraca zwolna mój umysł do równowagi — i jedną z pierwszych mych czynności było opisanie obiecanego polowania, które w załączeniu dla „Łowca“ przesyłam. Kończę, bo chyba nic ciekawego nie mogę podać z nudnej morskiej podróży, gdzie człowiek tylko je, pije i spi i z upragnieniem oczekuje lądu na horyzoncie. List ten wyślę z Teneryfy, gdzie jutro staniemy na kilka godzin.

*

* *

Było to w połowie września 1886 r. Już od trzech miesięcy mieszkałem w pustyni u stóp Kordyliery południowoamerykańskiej w pobliżu miasta Mendoza w rzeczypospolitej Argentyńskiej obozując z kilku robotnikami w miejscu, gdzie później miała powstać kopalnia nafty. Okolica jest górska i bardzo ponura; wody bardzo mało a całą roślinność składają rzadkie, małe, ciernistе, karłowate krzaki i liczne, bardzo kolczaste kaktusy. Uroku dodaje niebo prawie zawsze pogodne i widok na wspaniałe, zawsze zaśnieżone szczyty wysokiej Kordyliery, wznoszące się do a nawet ponad 6000 metrów nad poziom morza. Tuż obok terenu naftowego wznosi się wysoka grupa górska „Cerro de Cacheuta“, najeżona olbrzymiemi skałami po części zupełnie niedostępnemi, w których rozpadlinach gnieżdżą się liczne kondory, owe największe z żyjących drapieżne ptaki. Przez cały dzień krążyły one w nadzwyczajnych wysokościach albo odlatywały daleko dla szukania zdobyczy, dopiero koło zachodu słońca zaczynały się zlatywać do gniazd znajdujących się na najdzikszych i najspadzistszych ścianach. Często wspinałem się nawet z narażeniem życia, zaczajałem się między temi skałami, i dość wiele napsułem prochu lotek i kul, — lecz miałem wówczas tylko zwykłą gładką odtylcową dubeltówkę, z którą nic tym drapieżnikom zrobić nie mogłem. Dopiero w połowie września przybyli moi towarzysze z Europy, inżynierowie górniczy pp. Rieger, Błażowski i Odrzywolski. Przywieźli oni dla siebie i dla mnie wyborne 12-strzałowe karabinki Colt'a, po których można się było spodziewać lepszego efektu, niż od zwykłej Lefoszówki. Zaraz więc przy najbliższej wolnej chwili wyprowadziłem towarzyszy nad ścianę, gdzie można było oczekiwać kondorów. Istotnie wnet ich kilka nadleciało. Miejsce nasze jednak nie zbyt było wygodne, a kanonadą, którą rozpoczęliśmy, spłoszyliśmy tylko nadlatujące ptaki. W tem Odrzywolski dostrzegł, że w rozpadlinie, naprzeciw nas widocznej, poruszył się jakiś ciemny przedmiot. Był to młody kondor nie wylatujący jeszcze z gniazda. Nie wiele myśląc złożył się myśliwy i wypalił do niego. Trafił go dobrze, bo ptak rzucił się ku brzegowi rozpadliny, drgnął kilka razy konwulsyjnie i spadł z wysokiej ściany w przepaść. Niestety jednak nie zobaczyliśmy go więcej, bo przepaść była zewsząd niedostępna. Kilka godzin strawiliśmy na próbach, lecz do kondora nie dostaliśmy się.

Nazajutrz ułożyłem z Błażowskim inny plan (tamci towarzysze nie mogli się oddalić z kopalni). Uzbroiwszy się w karabinki udaliśmy się dość wcześnie po południu do innego parowu, który już poprzednio znałem, gdzie można było wyleźć po głazach i rumowiskach dość blisko do gniazd i gdzie można było mieć pewność, że zastrzelony ptak spadnie w dostępne miejsce. Przeczekaliśmy spokojnie przyparci do skały może godzinę, gdy nad głowami naszemi zaszumiało i kilka ogromnych kondorów przeleciało tam i nazad. Wreszcie jeden siadł na skale tuż naprzeciw nas w odległości może 100 metrów. Złożyliśmy się obaj razem i á tempo wystrzeliliśmy; oba strzały były celne: ptak z ogromnym łoskotem, jak lawina, spadł po prostopadłej ścianie co najmniej 200 metrów na dół. Uradowani schodzimy na dno parowu myśląc, że znajdziemy roztrzaskanego trupa, tymczasem zastajemy go na nogach ze złamanem skrzydłem i odgrażającego się nam olbrzymimi szponami i dziobem. Jeszcze z bliska musiałem mu wsadzić dwie kule, nim padł bez ducha. Była to stara samica ważąca koło pół cetnara; ze znacznem

natężeniem przydźwigaliśmy ją w tryumfie do kopalni. Z rozpiętemi skrzydłami mierzyła 2 metry i 60 centymetrów. Tak więc stało się na razie zadość naszej ciekawości: mieliśmy kondora w ręku.

Później jeszcze nie jednego ubiliśmy a jeszcze więcej postrzelili. Trzeba jednak było szukać ich już dalej, bo wzrastający ruch w kopalni i prześladowanie wypłoszyły je wkrótce tak, że dziś ich już znacznie mniej w tem miejscu. Kondor chce być wszędzie królem. Nie znosi konkurencyi ludzkiej i zaraz opuszcza okolice, w których mu człowiek odbiera panowanie.

Pisałem na parowcu „Rio Negro" w pobliżu wysp Kanaryjskich dnia 5. grudnia 1887.

Dr. Rudolf Zuber.

KRONIKA.

Dnia 7. Grudnia 1887. odbyło się posiedzenie Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego. Przewodniczył prezes Towarzystwa hr. Roman Potocki. Obecni członkowie: Bochdan Hipolit, Glanz Józef, dr. Kratter Ferdynand, dr. Rieger Zygmunt, hr. Szembek Stefan, wiceprezes Towarzystwa i Zontak Władysław. Uchwalono:

1. Wybór podkomitetu, mającego się składać z dra Krattera, Tadeusza hr. Dieduszyckiego, Romana hr. Potockiego i dyrektora Simona, któremu porucza się zbadanie sprawy Ustawy łowieckiej, przez Wydział krajowy zaprojektowanej i zdanie sprawy w najkrótszym czasie Wydziałowi Towarzystwa.

2. Podkomitet ma zaprosić do swych obrad dwóch rzeczoznawców przez komisyę sejmową wybranych, mianowicie hr. Artura Potockiego i hr. Tadeusza Dieduszyckiego.

3. Sekretaryat dostarczy wszystkim członkom Wydziału po jednym egzemplarzu sprawozdania Wydziału krajowego, dotyczącego Ustawy łowieckiej.

4. Wydział przyjmuje do wiadomości sprawozdanie sekretaryatu co do kosztów z wystawą łowiecką połączonych i uchwala remuneracyę w kwocie 100 złr. dla sekretarza Towarzystwa. Pozostała kwota ma być między ofiarodawców rozdzielona, względnie zwrócona.

5. W miejsce ustępującego z Wydziału JE. hr. Włodzimirza Dieduszyckiego, mianowano członkiem Wydziału p. Bronisława Komorowskiego, prezesa Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta.

6. Walne Zgromadzenie Towarzystwa łowieckiego ma być zwołane na dzień 15. Stycznia 1888.

7. Skoro podkomitet prace swoje ukończy, nastąpi bezzwłocznie posiedzenie Wydziału.

Na posiedzeniu Wydziału z dnia 18. Grudnia 1887. przewodniczył prezes Towarzystwa hr. Roman Potocki. Obecni członkowie: Glanz Józef Komorowski Bronisław, dr. Kratter Ferdynand, Rieger Władysław, dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław.

Przewodniczący zagaił posiedzenie podnosząc konieczną potrzebę zbadania przedłożonego przez Wydział krajowy członkom Wysokiego Sejmu projektu Ustawy łowieckiej. Po obszernej dyskusyi i wyjaśnieniach danych przez delegatów gal. Tow. łow. do ankiety, rozbierającej sprawę reformy Ustawy łowieckiej, skonstatowano, że referat Wydziału krajowego nie zawiera w sobie wiernego i dokładnego rezultatu obrad ankiety, że ułożony jest bez fachowej znajomości rzeczy, a projektowana Ustawa wymaga zupełnego przekształcenia. Z tego powodu uchwalono: 1. Wnieść do Komisyi sejmowej od Wydziału gal. Tow. łow. pismo, w któremby zaznaczono, że wyżej wskazany projekt Ustawy łowieckiej nie odpowiada naszym stosunkom, nie jest dokładnie opracowany, że przeto Wydział Tow. łow. najusilniej uprasza Komisyę sejmową, iżby projektowana Ustawa nie weszła na porządek dzienny obecnej Sesyi sejmowej. 2. Po otrzymaniu pomyślnej rezolucyi od Komisyi sejmowej, powierzyć dokładne zbadanie i zreformowanie projektowanej Ustawy, w tym celu mianowanym członkom Wydziału Tow. łow. i przesłanie tego operatu Wydziałowi krajowemu.

Uproszono p. dyrektora Simona, iżby wobec Wysokiego Sejmu był zastępcą gal. Tow. łow.

Sprawdzenie stanu finansowego gal. Tow. łow. odroczono do następnego posiedzenia, na którem referent budżetowy przedłoży dokładne sprawozdanie.

Resztę nakładu kalendarza naszego na rok 1888. postanowiono oddać w komis p. Alfredowi Dzikowskiemu, który przyrzekł zająć się bezinteresownie rozprzedażą jego.

W końcu uchwalono zwołać następne posiedzenie Wydziału w dniu 1. Stycznia 1888. w celu ułożenia sprawozdania i porządku dziennego dla Walnego Zgromadzenia.

Otrzymaliśmy do umieszczenia następujący okólnik:

Z końcem Maja 1888. podczas Zielonych Świąt, odbędzie się we Lwowie V. Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich.

W przekonaniu, że Wny Pan uznaje ważność podobnych zjazdów, Wydział gospodarczy ma zaszczyt prosić Wgo Pana, by swym współudziałem zechciał przyczynić się do powodzenia V. Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich. Bliższe szczegóły co do tego Zjazdu będą w swoim czasie ogłoszone. Gdy wszakże do ułożenia szczegółowego planu potrzebne jest wczesne zawiadomienie o pracach i kwestyach, mających być przedmiotem obrad, przeto Wydział gospodarczy ma zaszczyt zapytać, czy i jaką sprawę zechciałbyś Wny Pan poruszyć lub jaką pracę przedłożyć. Ponieważ pożądanem byłoby, ażeby podczas Zjazdu odbyć się mogła Wystawa hygieniczno-lekarska i dydaktyczno-przyrodnicza, przeto Wydział gospodarczy usilnie prosi Wnego Pana o jak najrychlejsze doniesienie, czy w rzeczonej Wystawie Wny Pan zechciałby wziąć udział, i jaki przedmiot wystawić zamierza, urządzenie bowiem Wystawy zawisłem jest od tego, o ile doniosły ten zamiar znajdzie czynne poparcie u ogółu naszych lekarzy i przyrodników. Upraszając o jak najrychlejsze zawiadomienie, tak co do udziału w samym Zjeździe jak i w zamierzonej Wystawie, Wydział gospodarczy nadmienia, że zgłoszenia przyjmować będzie najdalej do końca Stycznia 1888.

W imieniu Wydziału gospodarczego:

prof. dr. A. Czyżewicz, prof. dr. B. Radziszewski,
przewodniczący,
prof. dr. Józef Żuliński,
sekretarz generalny.

Mielnów (w Przemyskiem).

Przybyłem tutaj przy końcu Listopada, ażeby polować w mielnowskim i chołowickim 700-morgowym lesie na zające i kozły, sądząc, że gdzie nie polowano od lat pięciu, będzie się czem pobawić przez dzień lub dwa dni. Ku wielkiemu memu zdziwieniu we wszystkich branych miotach całego lasu, nic nie napotkaliśmy, prócz jednego lisa. Na zapytanie objaśnił mnie leśniczy, że w lesie mają pozwolenie polować jacyś panowie z okolicznego miasta, którzy tłuką co tylko pod lufę wlezie, a n. p. na ostatniem polowaniu zabili cztery sarny i zabrali ze sobą. Nie umiem podać nazwisk tych panów i właśnie zarządziłem zbadanie odnośnych okoliczności i nazwisk sprawców, lecz objaśnił mię leśniczy, że strzelanie sarn jest w zwyczaju w okolicy i nikt rzeczy podobnej nie uważa nawet za jakową zdrożność. Wobec powyższego faktycznego stanu rzeczy, bo co do owych sarn nie polegając na zapewnieniu leśniczego Kowaczka i jego rodziny, przepytywałem gajowego i innych mieszkańców miejscowych, nasuwa się pytanie, czy wie o tym stanie rzeczy starostwo, a względnie po co istnieje odnośna ustawa, skoro tak się dzieje bezkarnie. Takie postępowanie to przecież zbrodnia w zakresie łowieckim. Nie wiem kto jest delegatem powiatowym przemyskim Towarzystwa łowieckiego, ale zdałoby się, żeby pan delegat rzecz tę zbadał i podał ją, przynajmniej dla wiadomości na przyszłość, skoro karygodność wedle ustawy jest przedawnioną po trzech miesiącach. Tutaj muszę ponowić moje twierdzenie wypowiedziane w artykule „Łowca" nr. 12. z r. 1887., że starostwo często nie jest w stanie udzielić skutecznej pomocy, gdy o faktach nie wie. W powiecie jest zwykle podobno dwóch delegatów (w niektórych tylko powiatach, P. R.), każdy

z nich w swej połowie powiatu jest w stanie wszystko wiedzieć, co się dzieje w jego obrębie, byle chciał wiedzieć i trochę dołożył usilności. Bliższe szczegóły przytoczonego faktu podam następnie.

M. Paszkudzki.

Jabłonów 15. Grudnia.

W dniach od 9. do 14. Listopada odbyły się polowania w lasach księżny Florentyny Czartoryskiej, do klucza Jabłonowskiego należących. Ubito w 12 strzelb 3 dziki, 10 kozłów, 5 lisów, 159 zajęcy. Chybiono 4 dziki, 19 kozłów. Dwa stada dzików, raz 10, drugi raz 6, uderzyły na nagonkę i przeszły w sąsiednie lasy. Dwa wilki wyniosły się niestrzelane flanką. Strzelano bardzo licho, jak świadczy, że podpisany sługa chybił do dzika na 40 kroków. Stan sarn prześliczny.

Stanisław Matkowski.

Kopaliny 2. Grudnia.

W roku 1886. w czasie rozpisania przez c. k. Starostwo w Bochni licytacyi na dzierżawę prawa polowania gminnego na okres sześcioletni, Skarb Wiśnicki dzierżawiąc od dawna znajdujące się w jego terytoryum gminne polowanie, i tym razem przystąpił do licytacyi i jako najwięcej ofiarujący, utrzymał się przy dzierżawie polowania w gminie Olchawa. Pan wójt tej gminy, który zdawna pragnął zabawić się w Nemrodu, z powodu, że przez c. k. Starostwo z braku żądanych wymogów do udziału w licytacyi dopuszczonym nie został, wniósł rekurs do Wys. c. k. Namiestnictwa, które orzekło, że należało go do licytacyi dopuścić i poleciło ją ponownie rozpisać; jakoż odbyła się ona dnia 2. b. m. i wymieniony pan wójt utrzymał się z powodu wielce ciekawego, a śmiało można twierdzić, jedynego w swoim rodzaju, którego nawet istniejące patenty łowieckie nie przewidziały. Oto pan wójt postarał się u mieszkańców gminy, jako też u księdza proboszcza, który około 80 morgów gruntów plebańskich w tej gminie posiada, o zrzeczenie się na jego korzyść pożytku, ewentualnie dochodu z polowania gminnego. Nie dziw przeto, iż mógł najwyższy czynsz ofiarować, bo go nikomu płacić nie będzie. Nasuwa się jednak pytanie, czy tym razem pan wójt, który przez ową uzyskaną deklaracyę stał się niejako właścicielem polowania, miał prawo swoją własność licytować i czy przykład ten nie da innym pochopu do rozdrobnienia obszarów łowieckich, co przecież korzystnego wpływu na zwierzostan i tak w ogóle u nas ubogi nie wywrze. *Fr. Bieniek*, nadleśniczy.

Łosie w Galicyi. Według doniesienia czasopisma „Fricks Rundschau“ z 20. Listopada 1887., ubito w Rudniku koło Rzeszowa dnia 11. Października b. r łoszuka szpiczaka (łosia). Skonstatowano, że klempa (samica) pojawiła się z łoszukiem niespodzianie i była tropioną w dniach 6. i 7. w leśnictwie Tarnogóra, 8. w Łętowni, a 9., 10. i 11. w leśnictwie Grobla, gdzie dnia 11. urządzono na nie w sześć strzelb obławę, która uwieńczoną została ubiciem spiczaka. — Ostatniego łosia ubito według podania w Galicyi przed 126 laty, a więc niemal w okresie sławnych łowów, urządzanych przez Augusta II. w puszczy Niepołomickiej. Jakże w nierównych i smutnych warunkach odbyły się łowy obecne w porównaniu do łowów owego króla i jego drużyny. Obecnie stanowiło drużynę myśliwską sześciu oficyalistów właściciela majątku Rudnickiego hr. Hompescha, a mianowicie pp. Hacker, Tichy, Bulik, Grandl, Wenzel i Franzl, niezaprzeczenie tędzy myśliwi i czystej krwi krajowej, z których aż trzech złożyło się na zamordowanie biednego łosia szpiczaka! *Broniewski.*

Lwów 15. Grudnia.

Przed miesiącem zasłabł mi bardzo wyżeł w drugiem polu, ulubieniec całej familii. Stracił biedak apetyt i zwykłą ruchliwość, dławił się ciągle, kaszlał, a oczy zakisały mu brzydko. Przestraszony, ponieważ już dwa doskonałe psy na chorobę psią straciłem, wezwałem p. K. Hostońskiego, który zajął się bardzo szczerze pacyentem. Po zażyciu trzech pigułek p. Hostońskiego pies był i jest najzupełniej zdrów, a wyrzucił z siebie znaczną ilość śluzu bez żadnych wysileń. Dziękując p. Hostońskiemu niniejszem szczerze za wyleczenie mego Farysa, przyznaję, że pigułki te są wybornym środkiem na psią chorobę i dziwię się, dla czego dotąd tak mało są rozpowszechnione i używane.

Leon Dziubiński.

Redakcya Warszawskiego pisma „Tygodnik powszechny“ ogłaszając sprawozdanie dotychczasowego i prospekt przyszłego swego działania, dodaje w końcu: „Zwracamy uwagę na rubrykę Myśliwstwo, którą raz na miesiąc będziemy dawali w ten sposób, że „Tygodnik“ nic na tem nie ucierpi, a ci z naszych prenumeratorów, którzy się nie interesują tą kwestyą, będą mogli oddać swoim krewnym lub znajomym i choć tem zainteresować niektórych myśliwych do czytania. „Myśliwstwo“ będzie obejmowało wszelkie nowe wynalazki na tem polu, ulepszenia broni myśliwskiej, hodowlę psów, rozporządzenia władzy i t. p. kwestye dotyczące myśliwstwa, a przedewszystkiem racyonalnej gospodarki myśliwskiej, która w kraju rolniczym powinna być przestrzeganą i uczciwie prowadzoną. Widzimy bowiem, że nam brak w zupełności inicyatywy i że z owych puszcz pełnych zwierza, pozostały bory bez zwierzyny i tylko gdzieniegdzie jeszcze znajdują się ludzie, dbający o uczciwą i gospodarską hodowlę dziczyzny. Otóż w tym kierunku dziś dajemy inicyatywę. Nie obciążymy tymi artykułami bynajmniej „Tygodnika“, będą to rzeczy nadetatowe. Dołączone w miarę napływu świeżego materyału i w miarę żądań naszych czytelników, nie więcej jak raz w miesiąc“.

Do tego nieśmiałego i jakby wstydliwego dodatku do prospektu „Tygodnika powszechnego“ mamy obowiązek dołączyć nasze uwagi. Dodatek ów przedewszystkiem świadczy, jak bardzo nieznane jest pismo nasze „Łowiec“ szerszemu kołu czytelników w Królestwie Polskiem, gdy takie pismo, jak „Tygodnik powszechny“ wcale o nim nie wie i mówi „o zupełnym braku inicyatywy“. Następnie musimy stanowczo wystąpić przeciw widocznemu lekceważeniu sprawy łowieckiej, jakie wyraźnie z tonu owego ustępu prospektu się przebija, tem bardziej lekceważenie to razi nas tam, gdzie sprawa łowiecka, zaprawdę o wiele ważniejsza, jak autorowi tego ustępu się zdaje, dotąd nie jest podniesioną i należycie, jak na to istotnie zasługuje, ocenioną. Łowiec jako samoistne pismo przez lat już dziesięć działa pożytecznie i skutecznie, zyskuje coraz szerszy rozgłos i poparcie i sądzimy, że stanowi conajmniej inicyatywę którą „Tygodnik powszechny“ czytelnikom swoim przyrzeka. Szanowna Redakcya tego pisma może zechce w rocznikach „Łowca“ bliżej się rozpatrzyć, nim podejmie inicyatywę w sprawie, której znaczenia istotnego nie umiała w swym prospekcie dostatecznie określić.

Kimirz. Listopad.

Dnia 17. b. m. odbyło się u nas małe polowanie w ostępie „Waraż“. W 5 strzelb ubito 9 zajęcy, 1 kozła i 2 lisy. Strzałów padło 23, a w nich pudeł 11. Donosząc o rezultacie tego polowania, ośmielam się dodać, względnie prosić o radę i rozstrzygnienie następującej sprawy, tak bardzo obchodzącej gal. Tow. łowieckie i kraj cały. W dniu 11. Grudnia r. 1886 żandarm, po służbie przez las majątku Uszkowice idący, zastawszy tam znanych kłusowników kolonistów Henryka Matherna i Schoffera, odebrał im strzelby, oddając je c. k. Starostwu w Przemyślanach. Starostwo oddało tę sprawę Sądowi powiatowemu w Przemyślanach, a sąd na podstawie, że żandarm żadnej zwierzyny przy wyżej wymienionionych kłusownikach nie znalazł, uwolnił obu od winy. Starostwo też nie pociągnęło owych kłusowników do tej pory do odpowiedzialności.

H. Sozański leśniczy.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.